Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 28. Września 1879 r. **Tom IX.**

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 35.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f. We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków. W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego**

JUBILEUSZ

JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

Tydzień tylko przedziela nas od tej wspaniałej uroczystości, którą naród polski pragnie uczcić zasłużonego ojczyźnie syna. Fakt ten w dziejach porozbiorowego naszego życia, ma i mieć będzie niezwykłą doniosłość, którą śmiało podnieść możemy do znaczenia faktu historycznego, mającego zbyt ważne następstwa dla przyszłej pracy narodowej. Pozbawieni samoistnego bytu politycznego, rozdzieleni od wieku, prześladowani, tępieni, spotwarzani — jednak żyjemy i dajemy coraz jawniejsze znaki tego życia, wobec których nawet brutalna siła nieprzyjaciół naszych umilknąć musiała. Tak jest, możemy i powinniśmy być dumnymi wobec faktu, że dotąd jesteśmy jednym i w jednolite szeregi zwartym narodem, który toruje sobie drogę krok za krokiem naprzód i nigdy się nie poddaje. Dzięki zatem i wdzięczność z głębi serca należy się czcigodnemu Jubilatowi, że on dla tak błogiego przekonania o naszej sile i żywotności stał się chorągwią tej falangi, pod której osłoną rozprószeni synowie jednej matki zasiadają do wspólnej uczty w prastarym gmachu Kazimierza Wielkiego w grodzie Jagiellonów.

Od wielu dziesiątek lat, naród polski nie widział tak wspaniałej uczty, którąby tak jednozgodnie potrafiła nastroić uczucia jego na jeden harmonijny ton, skierować serca i dłonie do tak szczerego braterskiego uścisku. Zaiste trzeba być wielkim, niepokalanym, i prawdziwie zasłużonym, aby w miljonach serc rozbudzić taką jedność dążeń, taką łączność przekonań, takie niezamącone prywatą uwielbienie, wobec których nikną wszelkie inne sprawy codziennego życia. Gdyby szanowny jubilat nasz, nic więcej dla kraju nie zrobił, to już sam fakt, że potrafił tak czarodziejsko skoncentrować w swej osobie powszechne uczucie Polaków, byłby dla niego wiekopomną zasługą.

I któżto jest ten Kraszewski, którego imię stało się takim magnesem ściągającym tłumy rodaków do Krakowa? Jestto skromny pięćdziesięcioletni pracownik na niwie ojczystej literatury, jestto drugi Cyncynat orzący poczciwą glebę ojczystą, na której wzrosły tak bujne plony światła, cnoty i patrjotyzmu! Przez lat pięćdziesiąt służyć tak wiernie, narodowi, wychować dwa pokolenia, zostawić pokarm na dalsze wieki— oto są plony tej skromnej orki, za które wdzięczny naród składa mu teraz dzięki.

Czem jest dzisiejsza literatura nasza, czem jest poczciwy i kochający ojczystą ziemię naród nasz polski, czem jego sława, jego siła, jego niezachwiane w przyszłości nadzieje, tam szanowny Jubilat Kraszewski wszędzie położył owoce zacnej i uczciwej pracy. Były czasy, gdy wszyscy zwątpili — on jeden nie zwątpił, krzątał się, dźwigał, poprawiał i kochał... Otóż za tę miłość jegó, za tę ofiarę z przyjemności życia składanych dzień po dniu na ołtarzu ojczyzny i współbraci swoich, taż sama Ojczyzna kładzie mu dziś wieniec na sędziwe skronie, i schyla głowę z uszanowaniem i wdzięcznością przed jednym z pierwszych synów swoich. Daj Boże, aby ten żelaznych uczuć i pracy i poświecenia mąż, znalazł jak najliczniejsze grono naśladowców i aby długie jeszcze lata szlachetna dłoń Jego dźwigała ten sztandar oświaty, serc i uczuć polskiego narodu, na chwałę i pożytek Ojczyzny.

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM DRUGI.

Dokończenie.

XVII.

Zbytecznem byłoby dodawać, że wypadek na balu nie miał żadnego wpływu na program dnia następnego w domu baronowstwa Pogromskich.

Piękna Nina, połączona nierozerwalnym węzłem z lordem, nabyła stanowcze prawo noszenia tytułu lady Philibeg.

Lord synowiec baroneta, który się zastrzelił podczas swego ślubu, nie poszedł za przykładem swego stryja.

— Mamo, ja się unoszę ze szczęścia — mówił Narcyz do baronowej.

— I ja także, kochany Narcyzie — odpowiedziała matka.

— Jesteśmy teraz kuzynami Stuartów.

— I potomkami po kądzieli Roberta Bruce.

Hrabianka Niegolska przyjęła i spełniła obowiązek druhny, ale była trochę zielonawa z zazdrości.

Hrabia Gustaw za to, że drużbował milordowi, promieniał szczęściem.

Po ślubie odbytym w urządzonej napredce kaplicy pałacowej, zastawiono wspaniałe śniadanie, w którem wzięli udział tylko najbliżsi krewni, powinowaci i znajomi rodziny Pogromskich, poczem państwo młodzi udali się na dworzec kolei, i opuścili Warszawę najczulej przez wszystkich żegnani.

Jechali wagonem pierwszej klasy osobnem *coupé*, we dwoje tylko. Groom milorda i pokojówka milady stanowili cały orszak służbowy, jadący oddzielnie tymże pociągiem.

Jakkolwiek dyskrecja nie powinna by nam pozwalać zaglądać do *coupé* nowożeńców, musimy przecież opowiedzieć co się tam działo.

Lord dowiódł, że i w Aglikach płynie krew ciepła. Zaledwie zostali sami i pociąg ruszył, upadł na kolana, i w namiętnych wyrazach, językiem Szekspira i Byrona wyznał Ninie swą miłość jak pierwszy lepszy zakochany zapaleniec.

Był on karykaturalnie chudy i dosyć nawet na Anglika brzydki. Uczucie pod którego wpływem zostawał, uszlachetniło jednak jego rysy, które bądźcobądź opromieniała aureola dostojeństwa i miljonów.

Nina była oddawna przygotowaną na tę chwilę i obawiała się jej, teraz ze zdziwieniem widziała, że milord w uniesieniach miłości nie był bynajmniej wstrętnym, owszem pociągał ją ku sobie i jednał dla siebie.

Było to przyjemne, było to rozkoszne zdziwienie.

Gdy lordowstwo przejechali granicę, była już noc zupełna. Nina oparła piękną swą główkę na kolanach męża, w którego żyłach płynęła krew Stuartów i Roberta Bruce i kołysały ją sny różowe.

Nagle jakieś wstrząśnienie wagonu czy też niespodziewany świst lokomotywy, nadały sennym jej marzeniom inny kierunek.

Śniło jej się, że groom wnosi szkatułkę, że lord wyjmuje złoty kluczyk, i pistoletami znajdującemi się w szkatułce, chce zastrzelić ją i siebie.

— Litości, milordzie — wołała, zaledwie głos z piersi dobyć mogąc.

Ale litości zimny Anglik nie miał i odpowiadał jej obojętnie:

—Mój dziad sir John Philibeg był żonaty cztery razy i miał zwyczaj zastrzeliwać wszystkie żony w pierwszej poślubnej podróży.

Stłumiony krzyk wyrwał się z piersi Niny. Ocknęła się.

— Więc to sen! — zawołała z radością po polsku — więc to był sen!... więc ty Wiliamie nie chcesz mie zastrzelić?...

—Nie— drogi mój aniele nie... — uspokoił ją sir Wiliam, składając pocałunek na jej czole.

Powieki znużonej Niny zamknęły się znowu.

— Odpowiedział mi po polsku — myślała — nie... ja śnię chyba... gdzież onby mi po polsku odpowiedział...

I snuły się dalej jej myśli pół snem, pół jawem.

Zdawało jej się, że słyszy tuż nad uchem swojem wyrazy, które jej opowiadały historję długą, fantastyczną, dziwaczną, jakby z *Tysiąca nocy* wyjętą.

— Nazywam się Florjan Filipek. Ojciec moj był kuchcikiem w jakimś wielkim dworze, wyszedł potem na kucharza, ożenił się i wysilił się na to, ażeby mi dać wychowanie i wykierować mnie na księdza. Ale mnie się nie chciało być księdzem. Porzuciłem seminarjum i poszedłem w świat o swych siłach. Byłem młody, przystojny, zdawało mi się, że zrobię karjerę, że się jakaś bogata panna, hrabianka lub księżniczka, zakocha we mnie i zaślubi. Żeby mi nie przeszkadzało nazwisko zbyt mieszczańskie czy może gorzej, przezwałem się Filipkiewiczem. Ale i to nie pomogło Panny posażne i tytulowane stroniły odemnie, nie miałem szczęścia. Jakaś tylko separatka, czy rozwódka, stara i brzydka, zarzuciła na mnie swą sieć, i aby upozorować nasze związki, głosiła przed światem że jestem narzeczonym jej córki, mającej dopiero lat kilkanaście. Woziła mnie po świecie, po wodach i morskich kąpielach, byłem sprzętem, byłem narzędziem w jej domu... pogardzałem, brzydziłem się sam sobą, alem się z pęt wyrwać nie mógł i niezależności odzyskać.

Nareszcie przyszła dla mnie chwila wyzwolenia. Tyranka moja znalazła rywalkę. Starszą od siebie o lat dziesięć, brzydszą o dwadzieścia gradusów, ale taką, która się nie wahała ofiarować mi tytułu męża. Zgodziłem się na to i poszedłem w nową służbę.

Przekonałem się wkrótce, że trafiłem z deszczu pod rynwę.

Nowa moja pani była jeszcze bardziej we mnie zakochana i jeszcze zazdrośniejsza od pierwszej.

Miałem majątek, mogłem dogadzać wszystkim pańskim fantazjom i dogadzałem im rzeczywiście. Rujnowałem babę jak mogłem, nie wolno mi jednak było zrobić nic takiego coby uwłaczało jej małżeńskim uczuciom. Pod tym względem otoczyła mnie siecią tak gęstą, żem jej przebić nie zdołał.

Podwójnie jednak skorzystałem na tym związku. Z nudów, z rozpaczy oddałem się sportowi, hodowałem konie rasowe, obeznałem się z niemi, wykształciłem wysoko w szlachetnej sztuce hipepianej. Z tęsknoty za wolnością schudłem jak szczapa i już prawdopodobnie nie odzyskam nigdy jakiejbądź tuszy, a twarz mi się wydłużyła i stała kościstą jak jest obecnie.

Gdym się spotkał w jakiem mieście z moją czarownicą *primo voto* hrabiną X, *secundo* panią Filipkiewiczową, która nie opuszczała mnie nigdy i której wszędzie towarzyszyć musiałem, nieznajomi oglądali się za mną i szeptali do siebie:

— Patrzcie jak go wysuszyła ta piekielnica.

A słuchający wzruszali ramionami i trawestując Stary Testament, dodawali:

— To Abigail starą Dawidę grzejący...

Być może, że mnie w poufnych rozmowach rzeczywiście nazywano Abigailem, przynajmniej tak sobie wyobrażałem i dlatego byłem na ten wyraz strasznie drażliwy. Raz usłyszałem go za sobą, odwróciłem się i zażądałem od nieznajomego, który to imię wymówił, honorowej satysfakcji. On z początku przyjął wyzwanie, a potem widać rozpytawszy się moich znajomych, odpisał mi, że zmienia zamiar, gdyż bić się ze mną nie może, nie dlatego, że byłem tylko Filipkiem, ale że pierwszy mój stosunek z ową tyranką nie był zupełnie bezinteresowny, ozaz że nie miałby serca mojej „staruszki" żony w razie nieszczęścia pozbawiać mojej młodzieńczej opieki, przeprasza mnie zatem najpokorniej za użycie wyrazu „Abigail", który zresztą ja wytłómaczyłem sobie złośliwiej niż on sam myślał.

List ten był obelgą jeszcze dotkliwszą, ale musiałem go strawić.

Kilka lat pożycia i kilka zajść w tym rodzaju, zbrzydziły mi ostatecznie straszną moją pozycję.

Postanowiłem uciec.

Wsiadłem na najkosztowniejszego konia z mej stajni, wziąłem tysiąc dukatów z biurka i czmychnąłem.

Koń uniósł mnie mil kilka i padł, tuż przy najbliższej stacji kolei żelaznej.

Nadchodził pociąg pospieszny dostałem jeszcze bilet, wsiadłem i w kilkadziesiąt godzin byłem już w Calais, zkąd za chwilę miał odpływać parowiec do Anglji.

Zdawało mi się, że nigdzie na stałym lądzie nie będę bezpieczny przed moją jędzą, i nie odetchnąłem aż w Londynie.

Umiałem wybornie po angielsku. Nauczyłem się tego z nudów przy mojej babie, tak jak hippiki. Gdybym był miał nauczyciela, byłbym się przy niej uczył po chińsku, aby módz choć chwilami o niej i o moim losie zapomnieć. Aby się lepiej schować przed *primo voto* hrabiną, przedzierzgnąłem się w Anglika i zacząłem nosić nazwisko Philibeg, z mojego pierwotnego przerobione.

Pasja do sportu trzymała się mnie trochę, bywałem na wszystkich wyścigach.

Raz w Epsom oglądałem konie mające stanąć do walki o pierwszą nagrodę.

— Za którym koniem pan trzymasz? — odezwał się do mnie jeden ze znajomych Anglików, którzy mi towarzyszyli.

Miałem już tylko kilkadziesiąt dukatów pozostałej po babie spuścizny, nie chciałem ich ryzykować, bom nie wiedział, cobym począł bez nich nazajutrz na obcej ziemi.

— Trzymałbym za ,,Nelsonem,“ ale gdybym ja na nim jechał — odpowiedziałem.

Słyszał te słowa jakiś Anglik, którego nie znałem. Zbliżył się on do mnie i rzekł:

— Pan jesteś pewnym że na ,,Nelsonie“ wygrałbyś nagrodę Derby?

— Jestem pewny — odrzekłem zwracając się do mówiącego.

On i ja stanęliśmy zdumieni. Byliśmy do siebie podobni jak dwie krople wody, jak dwaj bracia z komedji Plauta, którą czytałem z nudów przy mojej babie.

Anglik pierwszy przerwał milczenie.

— Jestem właścicielem tego konia... — rzekł — dzielny koń — nikt nim jednak dobrze władać nie umie... jeżeli pan na nim zdobędziesz pierwszą nagrodę, ofiaruję panu posadę pierwszego dżokeja, z pensją tysiąc dwieście funtów rocznie, wszystkiemi wygodami i wolnością używania czasu jak się panu podoba w porach nie wyścigowych.

Tysiąc dwieście funtów rocznie... wszelkie wygody... zamiast pielęgnować starą babę o czarnych zębach, zajmować się najszlachetniejszemi zwierzętami... być wolnym... ależ to więcej niż królestwo!...

Przystałem... los mi poszczęścił... ,,Nelson“ dostał nagrodę Derby.

Mój Anglik był rozpromieniony, uściskał mnie, a gdy się nadto dowiedział, że oprócz podobieństwa rysów zbliża nas podobieństwo nazwisk, był to bowiem lord Wiliam Philibeg, a ja swoje nazwisko w taki sam sposób zaanglizowałem, otoczył mnie wszystkiemi względami, jakiemi tylko lord angielski otaczać może swego pierwszego dżokeja.

Pozwala mi na wszystkie moje fantazje i aprobuje je z góry. Grywa ze mną w karty, przyjmuje mnie w swoim salonie. Mieszkam w stajni ale ta stajnia jest pałacem.

Raz przyszło mi na myśl powiedzieć

milordowi panu mojemu, że gdybym chciał mógłbym go udawać.

Uchwycił się tej myśli jak szalony. Podobala mu się niby coś genjalnego rzeczywiście. Z jego wiedzą i wolą jeżdżę po Europie do tych miast, w których wiem, że go nie będzie i gram jego rolę. Zastrzegł sobie tylko żebym długów nie robił, czego zresztą wcale niepotrzebuję, i że gdybym się pod jego nazwiskiem ożenił, obowiązany jestem zaraz w pierwszej poślubnej podróży opowiedzieć żonie moją historję.

Dopełniłem tego w tej chwili... Życie moje nie jest tak świetne jak się zdaje, ale ma zawsze świetne bardzo pozory... a na świecie pozór wystarcza... wierz mi Nino... i przyjmij mnie takim jakim jestem... Przeszłość moją poznałaś... na to, co w niej jest brzydkiego zapuść zasłonę... wiesz z tej szczerej i zupełnej spowiedzi, że pierwszą miłością prawdziwą, pierwszą rzeczywistą tyś mnie natchnęła.

Głos dźwięczeć przestał... Nina nie wiedziała czy całą tę historję słyszała na jawie czy ją tylko dręczył sen przykry.

Przetarła oczy — nie spała.

Lord Philibeg siedział w wagonie, głowa jej spoczywała na jego kolanach.

— To był sen! — rzekła do siebie.

I zapytała po angielsku:

— Nieprawdaż że to był sen, milordzie?...

— Nie, pani, to nie był sen — odpowiedział tymże językiem jej mąż — to była rzeczywistość.

— Jakto, umiesz po polsku?...

— Umiem.

— Nie jesteś lordem?...

— Nie.

— Nazywasz się Filipek?...

— Tak jest...

— I śmiałeś...

Zawahała się. Odsunęła się od niego jak można było najdalej w wagonie. Zakryła twarz chusteczką.

Łzy nie miały czasu płynąć jej z oczu, bo zbyt gwałtownie w głowie falowały myśli.

Co począć?... czy porzucić samozwańca i okryć się śmiesznością, i zatruć sobie całe życie... czy grać dalej *komedję pozorów?...*

Była to zagadka jej życia.

Myślała nad nią długo... bardzo długo..

Już był dzień biały, gdy powzięła postanowienie.

Wyciągnęła rękę do Filipka i rzekła:

— Zostaję z tobą...

Filipek zerwał się z siedzenia, ukląkł przed nią i ręce jej okrywając pocałunkami mówił:

— O! nie będziesz tego żałowała, aniele!... wierz mi!... tylko miłość prawdziwa jest rzeczywistością, a wszystko zresztą pozory, więc czy takie czy inne mniejsza...

— O tak, mój drogi — odpowiedziała baronówna i przytuliła głowę jego do swego łona.

Czy piękna Nina czuła rzeczywiście to co mówiła, czy też jak to powiadają z francuska „robiła cnotę z potrzeby?... Nie chcemy odpowiedzieć na to pytanie:

To pewna, że tegoż jeszcze dnia, hrabia Gustaw, który już się wybierał w podróż do Anglji, otrzymał w Warszawie telegram zawierający te wyrazy:

„Ne venez pas à Londres. J'aime mon mari. Nina."

Czy to było także tylko z potrzeby, dlatego że piękna pani nie chciała przyjmować swego wielbiciela w stajni, czy też tak było rzeczywiście?...

Niech odpowie, kto umie odgadnąć kobietę.

KONIEC.

LISTY O SZLĄZKU.

przez

F. JESKE-CHOIŃSKIEGO.

II.

Rozprawiwszy się ze statystyką Górnego Szlązka, możemy przejść do historyczno-politycznych poglądów. Aby zrozumieć dzisiejsze położenie Górnego Szlązka, trzeba choć datami przebiedz kraju tego przeszłość.

Nie ma ani jednej dzielnicy dawnej rzeczypospolitej polskiej, którąby takie dziwne koleje przechodziła, jak Górny Szlązk, czyli właściwie księztwa: raciborskie i opolskie. Księstwo opolskie wraz z małym Głogówkiem i kilkoma innemi powiatami stanowi prawie piątą część Szlązka. Ziemia opolska należała do roku 1164 z resztą Szlązka do Polski, potem do księstwa cieszyńskiego. Władali tu cieszyńscy Piastowicze: Mieczysław I, Kazimierz I., Mieczysław II. i Władysław. Władysław miał czterech synów: Kazimierza II., Jakóba, Bolesława i Przemysława, którzy się niefortunnym zwyczajem słowiańskim po śmierci ojca księstwem cieszyńskiem podzielili. Przy podziałach tych wziął Przemysław księstwo raciborskie, a Bolesław I. opolskie. Bolesław I. wyniósł w r. 1273 miasto Opole do godności stolicy swego państwa, tam też odtąd mieszkał. Aż do wygaśnięcia potomstwa Bolesława, było księstwo opolskie dziedzictwem jego rodu. Między potomkami Bolesława odznaczył się głównie wnuk jego Władysław, który takiego nabrał rozgłosu, że go Polacy po śmierci króla Ludwika Węgierskiego na tron Piastów wynieść chcieli, co jednak do skutku nie przyszło. Bolesław IV. z tej samej linji książę opolski, uznał w r. 1327 króla czeskiego Jana, swoim zwierzchnikiem, składając mu hołd zwyczajny wasala. Kiedy w r. 1516 ostatni książę raciborski z rodu księcia Mikołaja II., nieprawego syna króla Ottokara, umarł, przeszła ziemia raciborska w ręce książąt opolskich. Odtąd przechodzą obadwa księstwa z rąk do rąk. W r. 1532 umiera ostatni Piastowicz Opolski Jan, bezdzietnie, a cesarz niemiecki i król czeski Ferdynand I., wciela spuściznę Piastów do cesarstwa niemieckiego. Po niedługim czasie zastawia Ferdynand, który wiecznie pieniędzy potrzebował, wymienione księstwa Jerzemu Brandenburgskiemu za 183,333 złotych, od której sumy rocznie 9,166 złotych procentu płacić musiał. Jerzy Brandenburgski, nie mogąc się zgodzić z Polską, z którą jako pan Opola wszedł w sąsiedztwo, zamienił owe księztwo za Zegan, Lorę i Frydland. W roku 1550 zawiera Ferdynad jakąś ugodę z Izabelą, wdową po Zapolji, królu węgierskim, na mocy której ustępuje księstwa: opolskie i raciborskie spadkobiercom Zapolji w zamian za Siedmiogród. Takiej samej zamiany dokonał w r. 1598 cesarz Rudolf II. z Zygmuntem Batorym, księciem siedmiogrodzkim. Batory wziął Opole i Racibórz, a Rudolf II. Siedmiogród. Batory zjeżdża do Opola, gdzie zamieszkuje, ale po niejakim czasie zrzuca się z układu i wraca do Siedmiogrodu, bo mu się na Szlązku nie podobało. Inny książę siedmiogrodzki, Betlen Gabor, bierze znów Górny Szlązk od cesarza Ferdynanda II., ale wkrótce uprzyksza sobie i ten Opole, a księstwa wracają do cesarza. W roku 1645 bierze cesarz Ferdynand III. od polskiego króla Władysława IV. drogą pożyczki milion sto tysięcy złotych, za co Polsce księstwo opolskie z Raciborzem w zastaw oddaje. Po śmierci Władysława IV. bierze Jan Kazimierz obadwa księstwa prawem spadku. Szlązk stał się naówczas przytułkiem dla króla polskiego, który się z żoną swą, Marją Ludwiką, w Głogówku (w r. 1655) przeciw Szwedom ukrywał. Dwadzieścia lat były oba księztwa pod rządami Polski. Cesarz Leopold I. pomagał Polsce przeciw Szwedom, za co wziął w zastaw żupy solne Wieliczki, równocześnie żądał, aby mu Polska za udzieloną pomoc wróciła Opole, kwitując z długu, zaciągnionego u Władysława IV., co się też stało. Odtąd zostaje Górny Szlązk pod panowaniem cesarzów niemieckich, aż przechodzi po siedmioletniej wojnie do Prus. Dziś jest kraina ta prowincją królestwa pruskiego, złączoną z resztą pruskiego Szlązka. Jak widzieliśmy, były księstwa opolskie i raciborskie kopciuszkiem różnych mocarzów, służącym do pokrycia długów i grzechów innych. Z rąk do rąk przechodzący kraj nie mógł sobie oczywiście wyrobić samodzielnego stanowiska politycznego. Nikt go nie chciał, każdy nim poniewierał, każdy popychał niby sierotę, pozbywając się czemprędzej, gdy się inne dziedzictwo znalazło. Sieroctwo to jest może powodem, że się stare tradycje słowiańskie aż dotąd nieskalane przechowały. Nikt nie zajmował się tym ludem, i dlatego został lud górnoszlązki, który jak każdy lud zmian nie lubi, sobą, mimo tylu a tylu przewrotów.

Przypatrzmy się teraz wewnętrznej polityce, która wpływała na losy Górnego Szlązka. W części tej będę cytował daty z broszurki Bolesława Limanowskiego: „Losy narodowości polskiej na Szlązku," wydanej we Lwowie 1874 r. nakładem drukarni J. Dobrzańskiego i Gromana. Odwołuję się na daty tej broszurki, gdyż są prawdziwe, o ile się odnoszą do przeszłości dalszej; ruchu współczesnego na Szlązku nie znał autor dokładnie, jak prawie żaden z naszych publicystów, gdyż żaden nie podróżował po Szlązku celem studjów na miejscu. Ponieważ znam dziś dość dokładnie ruch współczesny, bo studjowałem go u samego źródła, dlategoośmielę się tu i owdzie sprostować słowa Limanowskiego. „Walka o byt (B. L.) na zachodnej granicy sięga początków dziejowych naszego narodu, co w ostatnich czasach przybrała groźne dla nas rozmiary". „Niemcy byli i są najzaciętszymi wrogami Słowiańszczyzny, dlatego toż powinni się wszyscy Słowianie bez różnicy pojedyuczych, więcej politycznych odcieni, złączyć ku wspólnemu odpieraniu wrogiego nam wszystkim wpływu." „Szlązk jest z prawa (B. L.) historycznego dziedziną słowiańską. Jeden z największych polskich królów, Bolesław Wielki, wielki potęgą genjuszu i potężny siłą oręża — szeroko zakreślił granice dawnej Polski, wcielając do niej wszystkie nieomal okoliczne jednoplemienne ludy słowiańskie. Na północy oparł się o Bałtyk, na południu o Karpaty i Dunaj, zagarniając Szlązk

i Chrobacją. Na zachód przeciągnął granicę aż do ujścia Elstery Czarnej, do Łaby, a na wschodzie do Kijowa. Ale wkrótce zachwiało się wielkie państwo Bolesława. W tę to smutną dobę przypada oderwanie się Szlązka. Bolesław Kędzierzawy, upokorzony w Kryzgowie przez cesarza Fryderyka Barbarosę w r. 1163 odstępuje Szlązk dzieciom zmarłego swego brata Władysława. Akt ten wykluczył ziemię z całości organizmu polskiego. Zrywając węzeł z rodziną swoją, książęta szlązcy nie zdołali się oprzeć silnemu parciu, na jakie ze strony teutonizmu byli wystawieni! I co prawda, nie próbowali nawet opierać się, a rychło stali się sami potężnem narzędziem do niemczenia swego kraju. Rodzina Piastowiczów szlązkich dzieli kraj na drobne ksiąstewka, a w każdem takiem ksiąstewku staje się dwór książęcy ogniskiem niemczyzny. Książęta żenią się z Niemkami, otaczają się Niemcami, przyjmują mowę, obyczaj, ubiór niemiecki. Za przykładem książąt idzie szlachta, a to tem bardziej, że wzorem jest dla niej rycerstwo zachodnie, panowie niemieccy. Większy polor obyczajowy, liczniejsze wygody życia domowego, sztuki piękne, spiewy minnesängerów, wreszcie wyższy stopień oświaty, wszystko to pociągało szlachtę polską do niemczyzny. Dla Piastowicza Henryka Probusa pieśni niemieckie nawet (Szajnocha, pierwsze odrodzenie się Polski) w historji ówczesnej literatury romantycznej, chlubniejszą niż w dziejach narodowych zjednały wzmiankę. Dzisiaj w licznych szlązkich rodzinach pańskich; Bledowskich, Borowskich, Jarewskich, Lichnowskich, Paczewskich, Radolińskich, Szymońskich, Szarzyńskich, Stwolińskich, Witowskich, Posadowskich, Wojskich, Zawadzkich, Chrząszczewskich, Chojeńskich, Madejskich, Mitrowskich, Gaszynów, Laryszów, Wilczków, nic prócz nazwiska polskiego nie pozostało".

„Drugiem potężnem narzędziem (B. L.) do wynarodowienia Szlązka było duchowieństwo. W głównych dyecezjach polskich — powiada Szajnocha — jako to: gnieźnieńskiej, poznańskiej, krakowskiej, wrocławskiej, kujawskiej, płockiej wznosiły się klasztory cystersów, franciszkanów, dominikanów, augustjanów, templarjuszów, klarysek, kawalerów św. Jana. Wszystkie one zaludniały się ponajwiększej części z Niemiec mniej z Francji, a przez długie lata tylko cudzoziemców, ze ścisłem wykluczeniem Polaków w mury swe przyjmowały. Dyecezja wrocławska, która słynęła mnogością klasztorów, przewodniczyła innym w niechęci do krajowców. Nauka nawet prowadziła Polaków do wynarodowienia. Młodzież szlązka udawała się przeważnie na wszechnicę do Pragi, gdzie żywioł niemiecki przeważał. Wielu z uczonych Polaków już nie wracało do kraju, a którzy wrócili, szczepili gorliwie obczyznę. W takich warunkach, dla niemieckiego żywiołu korzystnych, zaczęła niemczyzna, zkądinąd napływająca, kraj szlązki zalewać, grożąc zupełnem zatopieniem ludności słowiańskiej. Lud szlązki w gminnej powieści tłomaczy po swojemu powódź niemiecką. Oto nie stało w Brandenburach Niemców, bo wymarli. Wtedy jedno ich książątko napisało do Lucypera, żeby Niemców z piekła przysłał. Lucyper wyprawia tedy djabłów, niosących Niemców we worach do Brandenburów. Kiedy owi piekielni wysłańcy nad Szlązkiem przelatywali, rozpról się jeden wór, a Niemców naleciało na Szlązk co niemiara. Tak wystawiają sobie polscy Szlązacy napływ Niemców wedle artykułów Józefa Łepkowskiego o Szlązku, umieszczonych w Bibljotece Warszawskiej w r. 1849. Zakonnicy obdarzeni przez książęta obszernemi ziemiami, sprowadzali kolonistów z ojczyzny swojej z Niemiec. Działo się to głównie w początkach 13tego stulecia. Za przykładem klasztorów szła szlachta. Jeszcze liczniej sadowili się osadnicy niemieccy po miastach. Miastom tym nadawała szlachta rozległe przywileje, których podstawą było prawo niemieckie. Kiedy tak książęta, szlachta a mianowicie klasztory niemczeniem Szlązka się zajmowały, pomagała na zewnątrz polityka. Książętom szlązkim cięży niezależność, więc oddawaja się sami pod rozkazy cesarzów niemieckich albo królów czeskich. Tak czyni Kazimierz Cieszyński w r. 1289, tak samo postępuje sobie wrocławski książę Henryk IV. (1322—27), nie inaczej Bolesław III. Lignicki i reszta drobnych książąt. A Czechy słynęły w owym czasie żarliwością niemiecką. Wówczas to pod Wacławem Jednookim i Ottokarem III. zaludniają się Czechy Niemcami, a szlachta czeska przybiera nazwiska niemieckie. Na krótki czas wraca w 15. stuleciu kilku książąt szląskich do Polski, nawet księstwa: opawskie i głogowskie łączą się z dawną macierzą za Jana Olbrachta, ale unia ta trwała zaledwie lat cztery od r. 1492—1496. Z tej epoki przebudzenia się ducha szląskiego mamy kilku znakomitych Szlązaków w dziejach naszej nauki: Jana z Głogówka, profesora krakowskiego Jerzego Libana, profesora Michała z Wrocławia. Krótko trwa to przebudzenie, Szlązk wraca znów do Niemiec, tracąc co raz więcej poczucia łączności z całością."

(Dok. nast).

Z PODRÓŻY I PRZECHADZEK

PO POŁUDNIOWO-ZACHODNIEJ NORWEGJI.

Z LUŹNYCH NOTATEK SPISAŁ

STANISŁAW BEŁZA.

(Ciąg dalszy).

III.

Brak kolei żelaznych. — Więc jak się tu podróżuje? — Karyole. — Statki. — Smuke Pige. — To i owo.

—Przedewszystkiem wiedzieć panu należy, że Norwegja kolei żelaznych prawie nie posiada. Mówię *prawie*, to bowiem co jest, stanowi drobnostkę w porównaniu z tem, co być powinno. Boć jeżeli kraj olbrzymi, obejmujący 5,750 mil□, posiada zaledwie kilkadziesiąt mil drogi szynowej, to nie posądzisz mnie pan o stronność, jeżeli powiem, że kraj ten jest nędzarzem w porównaniu z innemi pod względem komunikacji kolejowych.

Dlaczego Norwegja nie posiada kolei żelaznych? Składają się na to powody różne. Przedewszystkiem jestto kraj biedny, więc pieniędzy nie ma; powtóre górzysty, więc trudny do przerznięcia szynami, a po trzecie rządzony przez ludzi, którzy ważności kolei żelaznych nie bardzo rozumieją. Jak skoro się pan zapuścisz nieco w kraj, przekonasz się o pierwszem i o drugiem; co się tyczy trzeciego, to panu powiem, że parlamentem rządzącym Norwegją jest tak nazwany Sthorting, którego członkowie w wielkiej ilości chłopi, protestują zawsze energicznie, ilekroć razy chodzi o zawotowanie wydatku na pokrycie kosztów poprowadzenia kolei wzdłuż lub wszerz kraju. Co pan chcesz, chłopi są chłopami wszędzie i nie widzą dalej, jak koniec swego nosa; więc cóżto obchodzi takiego, dajmy na to *bondy* z okolic Bergenu, że tam drugi *bondy* z pod Röros naprzykład, okuleje niosąc ser po kamienistej drodze do Tönset lub Reendal.

Trzy mamy główne linie kolei w Norwegji: z Chrystyanji do Eidsvold, z Chrystyanji do Kongsberg i z tejże Chrystyanji do granicy Szwecji. Co prawda, to niedługo będziemy mieli kolei więcej, projektuje się bowiem olbrzymia linja z miasta, w którem obecnie przebywamy, do Tronthiem*) na północy kraju. Ta linia będzie nowym tryumfem naszych inżynierów, którzy szalone trudności zwalczyć przedtem muszą, zanim im poprowadzić ją się uda.

Otóż z trzech istniejących kolei, żadna nie doprowadza cię do miejsc najpiękniejszych dla turysty. I Eidsvoldska i Kongsbergska wysadza cię u progu uroczych miejscowości i ruszaj dalej w świat z mantelzakiem na plecach, kompasem i mapą w ręku. Dobrze jeszcze gdy masz kieszeń naładowaną *specjesami* (nasze 8 złot. pol.); dasz sobie wtedy łatwo radę; ale gdy w kieszeni suchoty, niedaleko zawędrować potrafisz.

Przypuszczam, że pan masz specjesy — dodał uśmiechając się — bo inaczejbyś do nas nie przyjeżdżał, dlatego też opowiedzieć ci chcę dalej co masz robić, gdy tłusty konduktor z wagonu cię wysadzi i powie, że furman, którego on jest najemnikiem, już dalej zawieźć cię nie może.

— Jak widzę — wtrąciłem — uprzejmość pańska dla mnie jest bardzo wielka i wcale przezemnie niezasłużona. Korzystać z niej jednak zamierzam, bo bez objaśnień pańskich wyznaję, trudnoby mi było tu coś zbudować.

To mówiąc wyjąłem dwa cygara, podałem jedno Böhnowi, drugie sam zapaliłem i usadowiwszy się w fotelu, słuchałem co mi w dalszym ciągu opowiadał. Była godzina dziesiąta wieczorem, ale znać tego nie było, letnie noce Norwegji, jak wiadomo, niczem prawie od dnia się nie różnią. O dziesiątej więc wieczorem mieliśmy nieledwie tak samo w pokoju, jak o dziesiątej rano.

—Kolei w Norwegji nie ma, powiedziałem—ciągnął dalej Böhn—ale i waszych poczt nie ma. Uśmiechasz się pan, myśląc sobie zapewne, czemże u was u licha podróżują? ciekawość pańską wkrótce zaspokoić zamierzam.

Rodzi się znowu pytanie, dlaczego u nas w Norwegji waszych kabrjoletów pocztowych nie ma? I tego są powody. Najprzód, drogi tu do przebycia ciężkie, więc czterokonny wehikuł z trudnością tuby się mógł poruszać. Co więcej, latem tylko podróżują u nas turyści, zimą i jesienią ruch jest drobny, zredukowany do minimum. Niedostatek więc kolei żelaznych i kabrjoletów pocztowych, zastępują w Norwegji tak nazwane *karjole*. Są to dwukołowe bidki o jednym koniu, z któremi bliższą znajomość pan zabrać z konieczności będziesz musiał, gdzie się bowiem tylko obrócisz, napotkasz je masami.

Po wszystkich uczęszczanych drogach w Norwegji, uderzy oczy twoje następujące urządzenie. Tu i owdzie ujrzysz tak nazwane

*) Linja ta świeżo przeprowadzoną została. (Przyp. autora.)

stacje pocztowe, dzierżawione lub będące własnością najzwyczajniejszych chłopów, których rząd zobowiązał do utrzymywania takich karjol, dla wygody turystów podróżujących po kraju. Jak skoro więc przywędrujesz pan do takiej stacji, najmuj sobie karjolę od chłopa, która cię powiezie do stacji następnej, gdzie nową karjolę dostaniesz i t. d.

— Ależ to musi być szalenie drogie to wasze podróżowanie karjolami — przerwałem.

— Zapewne że tanie nie jest, ale znowu środków podróżnego nie przechodzi. Zazwyczaj jednokonna karjola kosztuje na milę 30 szylingów, co znowu bajeczną sumą nie jest, zwłaszcza jeżeli się na uwagę weźmie, iż podróżowanie takiemi karjolami, do przyjemniejszych policzyć należy. Norwegja, jak pan wiesz, jest górzysta i w łonie skał swoich urocze więzi widoki; kto tu przychodzi, przejrzeć im się musi, a uczynić to wtedy tylko może, gdy podróżuje taką karjolą, którą sam powożąc jest się niezależnym panem.

— Jakto, więc samemu się nią powozi?

— Tak jest, w karjoli bowiem miejsca nawet na stangreta nie ma, jest tu jedno siedzenie w rodzaju siodła przyczepionego do dyszla. Na siodle tem, jeden tylko usiedzieć może, zmuszony będąc opuścić nogi, do pewnego rodzaju strzemionek uczepionych z boku. Z tyłu tylko karjoli jest maleńkie drewniane siedzenie, na którem się sadowi chłopiec zobowiązany do odprowadzenia konia z karjolą do stacji, jak skoro wynajmujący ją do celu podróży swojej dojedzie.

Ale nietylko karjolami ludzie u nas podróżują. Norwegja, jak panu wiadomo nie posiada wielkich rzek i jezior, ale za to przerznięta jest mnóstwem jeziorek drobnych, które zwłaszcza w zachodniej stronie kraju, na każdym niemal kroku pochód twój tamują. Otóż po jeziorkach tych, pływać, rzecz naturalna musisz. Ilekroć więc razy spotkasz pan na drodze swojej wodę, a spotkasz ją niezawodnie często, tyle razy musisz nająć łodziarza, który za niewielką opłatą na drugą stronę cię przewiezie. Opłata ta jest niejednakowa: dwu ludzi na milę jazdy pobierają 48 szylingów, trzech 72, czterech 96 i w tym stosunku. Mniej jak dwu ludzi nie radziłbym panu jednak brać dla oszczędności, podróż bowiem jest połączona z niebezpieczeństwem, którego unikać należy.

Tak się rzeczy mają na drobnych jeziorkach i wodach; na wszystkich większych jednak znajdują się parowe statki, które cię za bajecznie niską cenę do następnej stacji odwieźć są zawsze gotowe. W podróży swojej po Thelemarken spotkasz pan takich statków wiele a na jeziorze *Mjösen* kursuje ich nawet kilka.

Kto chce jednak dobrze poznać Norwegję, ten, zdaniem mojem, jeździć karjolami nie powinien. Komu zdrowie służy a nogi posłuszeństwa nie wypowiedziały, ten powinien po drogach naszych chodzić piechotą nie krępując się nikim i niczem.

Podróż taka ma urok nieopisany. Ja sam podróżując po Norwegji przed laty, kiedym był w pańskim wieku, podróżowałem po niej piechotą, i dziś z własnego doświadczenia panu radzę, byś unikał karjol i koni i wtedy tylko do pomocy ich się uciekał, gdy strudzone nogi wypoczynku zapragną. Nie myśl pan aby podróż taka połączoną była z niebezpieczeństwem, broń Panie Boże. Powiedziałem już panu na morzu, iż ludność Norwegji moralna nie łakomi się na cudze dobro. Powiem teraz nadto, że chodząc po kraju poznasz dopiero dobrze nasz lud poczciwy choć biedny, i nasze obyczaje pierwotne ale pełne powabu. Słuchaj więc pan mojej rady: a jak skoro kiedyś powrócisz nad brzegi swojej Wisły i opisać postanowisz dla pożytku drugich to coś widział i doświadczał, wspomnisz sobie wtedy handlarza drzewem Böhna, którego radom zawdzięczać będziesz więcej nauki w głowie i pieniędzy w kieszeni.

— Ależ czemże ja żyć będę, chodząc tak po kraju, którego języka i stosunków nie znam — przerwałem.

Nie lękaj się pan, nie pierwszy tu przychodzisz do nas i nie ostatni; poprzedziło tu pana wielu, przyjdzie jeszcze wielu po panu. Wprawdzie Polaka turystę po Norwegji, widzę w panu pierwszego, ale Anglików snuje się po kraju mnóstwo. Te *spleenowate* dzieci Albionu wiedzą co jest piękne, nie lękają się więc trudów i niebezpieczeństw, i przyjeżdżają do nas pewni, że tu znajdą to, czego gdzieindziej darmo szukać. Wszyscy dziś przybywają bez znajomości języka naszego i dają sobie radę. Wprawdzie mają kieszenie suto *gwineami* wypakowane i sypią złotem na wszystkie strony, ucząc nawet chciwości nasz lud, no, ale i bez wielkich bogactw podróżować po Norwegji można. Czy pan wcale nie znasz naszego języka?

— Przeciwnie, liczyć po norwegsku umiem i znam z jaki tuzin najpotrzebniejszych wyrazów.

Tu mu zacząłem cytować z gamięci: *giv mig* (daj mi), *öl* (piwo), *vand* (woda), *boeuf* (byfsztyk) *fugle* (ptak), *and* (kaczka), *äg* (jajko), *äple* (jabłko), *en kniv* (nóż), *aquavit* (wódka), *päre* (gruszka), *ost* (ser), *melk* (mleko), *vin* (wino), *smuke pige* (piękna dziewczyna).

— Brawo — zaśmiał się mój Norwegczyk — Od dni kilku jesteś pan dopiero w Norwegji, a już umiesz komplementa damom mówić. Nie obawiaj się więc niczego i ilekroć razy zajdziesz do chałupy jakiego *bondy*, gdzie dostrzeżesz ładny buziaczek bladolicej i jasnowłosej dziewoi, zwracaj się do niej śmiało ze słowami: *giv mig smuke pige öl*, lub cos podobnego.

Co się zaś tyczy obawy, ażebyś pan nie był okradziony lub oszukany, to jeżeli ona jest w panu, chciałbym ją słowami mojemi w zupełności usunąć. Odcięci od reszty świata morzem, odcięli się włościanie nasi i od zepsucia kontynentalnego, zadawalniając się tem co mają i nie czyhając na dobro drugiego.

— A co się tyczy restauracji, czy też je znajdować będę na drodze wędrówek moich?

— Jak gdzie. W większych miastach znajdziesz pan, po wsiach jednak bez nich obchodzić się będziesz musiał. Musisz więc spać i jeść w chatach włościańskich, w których wprawdzie nie ujrzysz zbytku, ale umiarkowaną skromność Za małe bowiem wynagrodzenie, poda ci taka wiejska *smuke pige* mięso, ser, mleko, chleb, jaja. piwo i rybę, a to ci zdaniem mojem wystarczy Przespisz się na twardem łóżku i powędrujesz dalej w świat z pod tych strzech naszych unosząc wrażenie wcale nie najgorsze. Kiedy pan jedzież do Thelemarken?

— Jutro lub pojutrze najdalej; nic mnie już w Chrystjanji nie trzyma, zwiedziłem wszystko, zobaczyłem wszystko, coś mnie już więc z tych zimnych murów wypędza. Pierwej jednak nim zwiedzę Thelemarken, chciałbym poznać okolicę waszego Miösen, o którem takie dziwy czytam i słyszę, pojadę więc najpierw do Lillahamer, a może i dalej na północ, a jak skoro ztamtąd powrócę, puszczę się do Szwajcarji norwegskiej.

— Pochwalam panu i ten projekt i radzę mu przyprowadzić go do skutku. Okolice jeziora Miösen, są istotnie prześliczne, warto więc je zobaczyć.

— Ale zagadaliśmy się — przerwał nagle powstając z miejsca i patrząc na zegarek — a to już pierwsza godzina. Czas więc nam się rozstać, przedemną bowiem leży jeszcze daleka i znojna droga. Jadę po drzewo na północ, potem do Finladji i za kilka dopiero miesięcy będę z powrotem w Chrystjanji.

To mówiąc, wyciągnął do mnie rękę, potrząsnął nią z energją właściwą ludziom północy, a za chwilę w izdebce mojej w hotelu *Sztokholm*, w Chrystjanji pozostałem sam jeden ze swojemi myślami i miłem wspomnieniem po tym którego już zapewne na zawsze pożegnałem.

IV.

W wagonie kolei żelaznej. — Droga do Eidswold. — Z czego pamiętne Eidswold? — Na jeziorze. — Moje otoczenie. — Ląd i Lillahamer.

Codziennie rano wychodzi ze stolicy Norwegji pospieszny pociąg do Eidswold, którym jechać każdy musi, kto chce Miösen oglądać. Puściłem się więc i ja tą drogą. Nie powiem jednak by przedstawiała ona jakikolwiek dla podróżnego interes. Broń Boże! Okolica, którą przecina, jest jednostajna i pospolita, a choć tu i ówdzie widnieją zdala góry, przecież nie nęcą one ku sobie.

Powiem tylko, iż cała ta linja długa jest na sześć mil norwegskich a kończy się na mieście, które jej nazwę nadało.

Eidswold słynne jest w historji norwegskiej z tego, że tu w roku 1814, stany państwa zawotowały oderwanie swej oczyzny od Danji i połączenie jej ze Szwecją. Tu to zebrali się przedstawiciele ludu i ogłosili światu, że nić łącząca ich tak długo z kolebką Torwaldsena, stanowczo i na wieki rozerwaną została. Pomiędzy stacjami Dal i Eidswold oglądać nawet można budynek, upamiętniony zebraniem mężów, którzy tym aktem ze Szwecją się połączyli. Oprowadza po nim stary włościanin, który sam był członkiem tego pamiętnego w dziejach Norwegji zebrania. Budynek jest drewniany i niczem ciekawem się nie odznacza, prócz chyba galerji portretów, które przecież tylko historyczną wartość mają.

— Ale otóż i Eidswold — woła donośnym głosem konduktor. Miasto gdzieś ukryło się za górą a przed nami stacja kolei. Wysiadamy więc. W dali błyszczy zwierciadło wód białych i nieruchomych: to Miösen, owo cudne Miösen, którem się szczyci każdy Norwegczyk, jak Kolonja katedrą swoją. Idziemy do przystani. Tu krzyk, zgiełk i zamięszanie. Do budki kasjera wszyscy się cisną, wołając o bilety, jak gdyby lękali się by ich statek na lądzie nie zostawił. Widok mam piękny i urozmaicony. Tam góry i stacja kolei, tu woda i fałszywe śpiewy majtków, a na około mnie masa zbita ludu, ruchoma jak fale morskie, hałaśliwa jak dzieci.

Nareszcie wszystko się uspokaja. Fale ludu rzednieją powoli, a raczej toną na pokładzie olbrzymiego statku, przed którym stoi kapitan

i zaciera ręce z radości. Przybliżam się wtedy do niego i proszę o bilet: *til* (do) Lillahamer.

Chcąc bliżej i dokładniej poznać Norwegczyków, bynajmniej nie powodowany względami oszczędności, zamówiłem sobie miejsce na pokładzie. Wprawdzie lękałem się cokolwiek sąsiedztwa beczek ze śledziami, ale pocieszała mnie za to nadzieja, że będę miał dokoła siebie dzieci ludu, z całą ich rozmaitością i odrębnością; nie ujęte na szczęście jeszcze w te światowe foremki, które Paryżanina *z towarzystwa* niczem nie odróżniają od mieszkańca Sztokholmu, a Polaka upodobniają do Hiszpana lub Portugalczyka. Z tą nadzieją wszedłem na pomost, bo majtkowie niezadowoleni widocznie ze mnie, że jeszcze na lądzie zostaję, zaczęli mi pokazywać gestami, że już nie długo odpływamy. Jakoż zaledwiem ulokował się na mojem nowem stanowisku i usiadł na antałku piwa (ławek na pokładzie, tak jak w naszej czwartej klasie kolei nie ma; biedni ci biedni!) zaczęto wrzeszczeć i gwizdać, biegać i łajać — ruszyliśmy.

Zanim rozejrzę się dokoła siebie, z kim ja też do Lillahamer jadę, pierwej zwrócić muszę uwagę na to, gdzie jadę i na czem jadę.

Jakto na czem? I mnie się zdawało, że zadawać sobie to pytanie było rzeczą zbyteczną, ale gdy jeden z moich towarzyszów po półgodzinnej podróży odezwał się najczystszym niemieckim djalektem:

— No, dzięki Bogu, jużeśmy na Miösen wpłynęli — uznałem za potrzebne roztworzyć mój Przewodnik po Norwegji i oto com w nim wyczytał:

— Wypłynąwszy z pod Eidswold, pierwsze pół mili jedzie się po szerokrej rzece Wormen, która przy stacji Minne do jeziora Miösen wpada i t. d. i t. d.

Zaraz mi przyszło na myśl, że gdyby nie mój Niemiec, mimo dokładny przewodnik nie byłbym się o tem dowiedział; dalejże więc w pogawędkę z Niemcem.

Był to Hamburczyk: pół żyda, pół Niemca; kupiec i awanturnik. Handlował piwem i przez całą zimę w zadymionej knajpie jak szynka się wędził, ale gdy nadeszło lato, zostawiał knajpę żonie, a sam z mantelzakiem, tysiącem talarów w kieszeni i *Wacht am Rein* na ustach — w świat. Gdzie on nie był, czego nie widział! Pogawędziwszy z nim pół godziny, miałeś go jak na dłoni. Wywnętrzył ci się kim jest, kto go rodzi, ile ma majątku i dzieci, które kraje dotąd zwiedził i które jeszcze zwiedzić zamyśla. Gdy się dowiedział, że jestem Polakiem, powiedział mi prosto z mostu komplement, że Polaków nie lubi; ale gdym go przyparł do muru, za co ich nie lubi, przekonałem się, że ten poczciwiec nie ledwie tak potrafi myśleć, jak moja para butów. Dałem mu więc pokój i odszedłem ku drugiej gromadce, która wskazywała coś na prawo i urywanemi słowami zdradzała swój zachwyt.

Spojrzałem. Na prawo i na lewo przesuwały się cudne panoramy. Byliśmy już na Miösen, które w tem miejscu nie bardzo szerokie, kręci się i wije wdzięcznie. Dokoła wody rosły rozkosznie zielone pagórki i śmiały się do nas tak wdzięcznie, że oderwać od nich oczów nie chciało. Pagórki te ustępowały wciąż miejsca następnym, statek bowiem mknął jak strzała, ale wszystkie, które przychodziły nas pozdrowić, wyglądały tak uroczo i wdzięcznie, że gdyby odemnie zależało, byłbym zatrzymał statek i podpłynął do nich bliżej, chcąc się przekonać, czy nie są one tym uroczym mirażem, co błądzącego po pustyni Araba, jak błędna mara wiecznie do siebie wabi.

Zewsząd słyszę:

A! Ach! a mój szynkarz klaszcze w dłonie i woła: *reitzend! schön!*

Istotnie jest to co widzimy piękne. W ogóle charakter krajobrazów, jakie Miösen daje, jest spokojny. Nie masz tu groźnej natury, jaka cię przeraża na jeziorach szwajcarskich, lub Morskiem oku w Tatrach; widoki tu mniej dzikie. Lekkie wzgórza, czasami tylko przechodzą w strome góry, częściej jednak rozpływają się w falistości gruntu, która niekiedy, jakby na żart w płaszczyznę się zamienia. Tu i ówdzie wyglądają z po za tych górek nieśmiałe rybackie domki, tu i ówdzie kępki czarnych drzew kąpią swoją postać w białem wód zwierciadle, jasnowłose dziewczęta rozciągają na słońcu płótna; pospolitości, jednem słowem tu więcej, ale ta pospolitość pokryta takim całunem smutku, takiemi melancholijnemi źrenicami Północy spogląda na ciebie, takim cię spokojem przyobleka, taką pogodę udziela, że nie oddałbyś jej, ręczę, ani za słynną kaskadę Renu, ani za piekielne widoki Zawratu, ani za nic, co przemawia do ciebie grozą i potęgą a nie miłością i wdziękiem.

Tu, na Miösen wszystko drobne, wesołe i urocze, tu nic cię nie przestrasza a wszystko pociąga, nic nie odpycha a wszystko wabi; a spokój wewnętrzny, jaki ci te widoki dają, sprawia, że lgniesz ku nim całą duszą.

Ze wszystkich norwegskich jezior, Miösen jest najdłuższe. Wzniesione 387 stóp nad powierzchnię morza, w najgłębszem miejscu wynosi 1442 stóp, a na przebycie jego potrzeba 8 godzin. Godziny te jednak mkną ci szybko i przyjemnie tak, iż u kresu podróży nie czujesz znużenia. Ponad samym brzegiem jeziora witają cię kilka razy piękne rybackie mieściny, jak Ekornholmen, Stigersan Gillund, Hamar, Birid, Frengstuen i inne. W środku jeziora leży śliczna wyspa Helgeo (Święta wyspa), wyglądająca jak rozkoszna oaza w piaszczystej pustyni. Obsiedli ją rybacy i ogrodnicy; wyspa bowiem oblana dokoła wodą, odznacza się wielką urodzajnością.

Przeciskam się przez tłum oblegający mnie, by się tej wysepce lepiej przyjrzeć.

Przybliża się do mnie Niemiec.

— Co to za nieznośni ci pasażerowie — mówi — przemawiasz do nich jak do ludzi, a oni ci nie odpowiadają i jeszcze się śmieją.

— Widocznie nie rozumieją pana — odrzekłem.

— Ach! dziś przecie cały świat po niemiecku mówi — i znowu zagwizdał *Wacht am Rein.*

Wzruszyłem ramionami i z politowaniem spojrzałem na tego pruskiego *kulturträgera*, mającego żal do tych poczciwych i spokojnych Norwegczyków, że jego knajpowych konceptów rozumieć nie raczą.

Bo istotnie ci Norwegczycy są rzeczywiście poczciwi i spokojni.

Podczas moich późniejszych wędrówek po Norwegji, miałem sposobność bliżej przekonać się o tem, i na pokładzie statku przecież obserwacją tę nie trudno było mi zrobić.

Jechałem umyślnie na pokładzie, aby lud poznać; zewsząd miałem około siebie ludzi stanu trzeciego, spodziewać się więc mogłem pewnych wybryków, jakich ludzie tej klasy zawsze sobie pozwalają, ilekroć znajdują się w swojem kółku. A jednak na pochwałę ich powiedzieć muszę, iż nic takiego nie dostrzegłem, coby mnie w jakikolwiek sposób nieprzyjemnie dotknęło. Gwaru wprawdzie było pomiędzy niemi co niemiara, ale wszyscy zachowywali się przyzwoicie i nie zdradzali brutalnych narowów. Co mnie szczególniej, patrząc na nich uderzyło, to pewien szacunek, jaki wszyscy kobietom okazywali. Szacunek ten (którego pomiędzy Niemcami nie szukaj) przejął też mnie dla nich szczerą sympatją.

Dopływając do Hamar stanąłem przy barjerze, a myśli moje pobiegły aż nad brzegi sinej Wisły. Zadumany wpatrzyłem się w przezroczystą dal, gdy nagle odgłos zbiorowego spiewu wyrwał mnie z zadumy.

Oglądam się i cóż widzę?

Oto całe moje towarzystwo wyjęło książki do nabożeństwa i spiewało pieśń religijną o Chrystusie. Kobiety prym trzymały a mężczyźni wtórowali im głosem czystym i donośnym. Było to widowisko tak piękne, jakiemu równe nie prędko chyba zobaczę. Ukołysany harmonją uroczą wsłuchiwałem się długo, długo w ton smętny i natchniony, a gdy pieśń ukończoną została i chwilowe milczenie zapanowało na pokładzie, zdało mi się, że bardziej jeszcze kocham ten lud poczciwy, chwalący Pana nad Pany tak prosto i szczerze, a tak gorąco i rzewnie.

Mimowoli wzrok mój padł na Niemca. Stał on z założonemi na piersiach rękami i szklannem okiem patrzał na otoczenie swoje. I on się zdawał być wzruszonym, choć tego nie chciał po sobie pokazać. Ale to widać było po nim, bo wzruszenie jakie w nas ta pieśń sprawiła, owładnęło wszystkiem i wszystkimi, a mnie się zdaje że i matką nawet naturą.

Podszedłem ku niemu i kładąc mu rękę na ramieniu zapytałem:

— Czy trwasz pan przy swojem zdaniu, że ci Norwegczycy są nieznośni?

Spojrzał na mnie z głęboką zadumą, machnął ręką i odszedł nic nie mówiąc. Zauważyłem, jednak, że już *Wacht am Rein* nie nucił.

Tymczasem statek, który się dotąd lewej strony trzymał, nagle zrobił zwrot na prawo i szybko biegł ku jakiejś górze, na której ukazywało się miasto. Była godzina 6 po południu; ośm już godzin byliśmy odcięci od lądu; nie sądziłem przecież by ukazujące się miasto było Lillahamer, nie widziałem jeszcze bowiem końca jeziora. Kapitan jednak statku, do którego się zwróciłem z zapytaniem, objaśnił mnie, że miasto na górze jest Lillahamer, że u stóp jego kończy się jozioro Miösen, a widniejąca w dali woda, to rzeczka Laagen wpadająca do jeziora. Zadowolony tem objaśnieniem, wziąłem mój pakunek na rękę, gotując się do wyjścia, a w tejże prawie chwili statek przystanął i przez rzucony pomost wydostałem się na ląd. Byłem w Lillahamer. (C. d. n).

LEONARD CHODŹKO

I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XX.

Wypędzenie Lelewela i wyjazd Chodźki spowodowały rozchwianie się tak nazwanego *towarzystwa ziem ruskich i litewskich*. Spojrzyjmy i na to towarzystwo, które mocno wpłynęło na wyrobienie śród wychodźtwa pojęć jedności i jakby centralistyczności polskiej. Zawiązało się ono 10 grudnia 1831, a w skład jego weszli wszyscy wybitniejsi Litwini, przebywający podówczas w Paryżu. *Lelewel*, Cezary i Władysław *Platerowie*, *Kołysko*, Józ. *Zienkowicz*, W. *Pietkiewicz*, *Hlusznievicz*, *Chodźko* L., E. *Wodziński*, Józef *Straszewicz*, Juljusz *Słowacki*, Antoni *Gorecki*, Kaz. *Potulicki*, Erazm *Rykaczewski*, Wojciech *Sowiński*, Henryk *Dmóchowski*, J. N. *Umiński*, Ksawery *Orański*, J. *Grotkowski*, A. *Wołotkowicz*, Eustachy *Januszkiewicz* i inni w ogóle 35 i na dniu 10 marca 1832 podpisali akt założenia i ustawę.

Co było dzielniejszego skupiło się pod tę chorągiew. Później już do towarzystwa przystępowali znani w literaturze tamtoczesnej i późniejszej: *Mickiewicz* Adam, Michał *Chodźko*, Ksawery *Godebski*, Michał *Horain*, Aleksander *Jełowicki*, Piotr *Semenenko*, J. Hen. *Kaysiewicz*, Hipolit *Klimaszewski*, Henryk *Kałussowski*. Winc. *Kraiński*, Ignacy *Domeyko*, St. *Kunat*, Karol *Święcicki*, Bohdan *Zaleski*, Stanisław *Worcell*, Feliks *Wrotnowski*, J. *Tański*, Mich. *Podczaszyński*, H. *Nakwaski*, Fr. *Szemioth*; i t. d. Do towarzystwa tego należał Michał *Wołowicz*, Władysław i Antoni *Oleszczyńscy*, Samuel *Różycki*. Słowem, co tylko było wybitniejszego śród wychodźców z Litwy i Rusi weszło w jego skład, a można powiedzieć śmiało, że ze 126 członków prawie połowa zasłużyła się naszemu narodowi bądź na polu piśmiennictwa, bądź w rzeźbiarstwie, muzyce i w ogóle sztukach pięknych. Wielu z nich pisało w różnych przedmiotach w obcych językach; wielu powszechność nasza prawie nie zna; ale są w tej liście i sławne i powszechnie znane imiona nawet tam, gdzie zaledwie w tysiącznych złamaniach dosięgł promień wiedzy.

Prawda, że później *upadło* towarzystwo, raczej jakby się rozpłynęło i znikło, że liczni jego członkowie brodzili lub brodzą po wertepach towianizmu i mrzonek okraszonych słowami Polska, ojczyzna i t. d., że niejeden uwiązł w toniach bezdennych głupoty zmartwychwstańców i fanatyzmu jezuickiego lub liberji pańskiej; ale w te czasy byli to jeszcze ludzie pełni siły i życia, tchnący postępem i szczerą chęcią pracowania dla społeczeństwa. Wtedy w głowach potężnych piewców powstawał rys Pana Tadeusza i Beatrix Cenci. Wtedy praca gotowała katedry na wszechnicach Chili i Francji dla naszych rodaków. Zamiast komplementów wszystkim świętym i nieświętym, a możnym tego świata, Jełowicki pisał pamiętniki i o tow. wzajemnej pomocy, a Semeneńko rewolucyjne odezwy w duchu republikańskim i gadał mowy, od których drżał i beczał stary Niemcewicz, ubolewając nad zgubą narodu, a gorszył się Kniaziewicz. Wtedy to nawet Januszkiewicz wyrządzał publiczne *auto da fé* dla odezw dyplomatycznych, wzywających do legji służalczych ku popieraniu „. . . . . . koronowanych.“ Dawno minęły te czasy i w innem świetle później osoby zabłysły, ale czas trwania zarodku ich działalności niemniej przeto zasługuje na rozpatrzenie, tem bardziej, że zbieranie się tych ludzi rozjaśniło światu pojęcie niejednej rzeczy i wygłosiło teorje, które niesłusznie później przywłaszczono Duchińskiemu.

Prezesem tego towarzystwa był Cezary *Plater*, pisarzem zaś (sekretarzem) Leonard *Chodźko*. Na czele swych ustaw*) oto co piszą założyciele jego: „Mieszkańcy Rusi polskich (*Russies polonaises*): Białej, Czarnej i Czerwonej Rusi, Wołynia, Podola i Ukrainy są Rusini, Ruteni albo Ruśniacy (*les russiens, les rutheniens* ou *les rousniaque*), stosownie do pisarzy, którzy dali te różne imiona tym samym ludom. Te prowincje nie powinne być brane za jedno z cesarstwem rossyjskiem właściwem (Rossja albo Rassija), dawniej nazywaną caratem moskiewskim (*tzarat de Moskovie*). Imię ziem zawiera zbiorową ideę różnych prowincji, księstw i okręgów.“

Widzimy zatem, że nie Duchiński pierwszy począł podawać cudzoziemcom jasny wykład różnicy Rusinów i Moskali. I rzeczywiście, trzeba by się dziwić naiwności, któraby zmusiła zawsze milczeć o tym przedmiocie *Lelewela* autora: *Dziejów Litwy i Rusi*, co tę myśl historyczną poruszył i do szkół wprowadził przed listopadowem powstaniem, naiwności *Chodźki* autora artykułu w *Foreign Quarterly Review*.

To też na pierwszej stronnicy położone określenie różnicy Rusi i Moskwy zrzuca choć w części ten zarzut. Jednakże „odnawiając te narodowe pamiątki, towarzystwo chce pozostawić przyszłości te same tytuły i wcięla całkowicie ziemie ruskie.“ Dlatego to towarzystwo objęło księstwo Żmudzkie, województwa: wileńskie, trockie, mińskie, połockie, liwońskie, witebskie, mścisławskie, nowogrodzkie, brzeskie, wołyńskie, kijowskie, czernihowskie, bracławskie, podolskie, ruskie, bełzkie i ziemię chełmską.

Towarzystwo w swej odezwie określa swą naturę tak: „Jest to narodowe ogniwo wznawiające pamięć starodawnej chwały, wielkości i w niczem nie zatartych węzłów braterskich, jakie spajały dawną Polskę. Wspomnienia te stają się rękojmią jak w każdem przedsięwzięciu, wspólna usilność łączy się bratniem sercem aby celów dopiąć.“

„Synowie Litwy — zaczyna odezwa — naczelnicy, dowódzcy powstania i ci co powstanie to przygotowali i zdziałali i ci co czynnie go popierając usiłowali zrzucić jarzmo niewoli, przeciwnym losem ścigani, z ojczyzny swej wyparci, stali się tułaczami.“ Otóż w obec trosk codziennych, w obec wyniszczenia całych rodzin i ucisku dokonywanego w kraju: „brzemię nieszczęść, którem przyciśnięci zostali, nie ugięło hartu ich duszy. Dumni są wspomnieniem, że im świat nad zwykle i bohaterskie poświęcenie się w sprawie narodowej przyznał; a nie wygasła w nich żądza starcia potęgi gnębiciela, podżegana jest nadzieją rychłego ich bytu odrodzenia.“ Lecz ucisk i złamanie z powodu nieudania się sławnego przedsięwzięcia nie zgnębiły ducha Litwinów, pochlebstwa im sypane nie były wstanie obezwładnić w zarozumiałości. To też: „Ożywiany nadzieją wśród trosk i strapienia dzielny ich umysł, z niemiłem wrażeniem postrzegł niewiadomość obcych o ich kraju, o ich dawnych dziejach i nowych zdarzeniach, o ich krzywdach, cierpieniach, niedolach, prawach, ojczyźnie i narodowości. Mniemają tedy, że w położeniu obecnem, jednemu z pierwszych obowiązków zadość uczynią, gdy znajdą środki udzielenia czystych i rzetelnych o rzeczach i sprawach swoich wiadomości; gdy się dadzą poznać, że byli i być nie przestaną jednym z ludów Europy, który był piękną rzeczypospolitej polskiej połową.“ 10 Litwinów u Platera zawiązało to towarzystwo, lecz „w podobnem-że znajdujący się położeniu, synowie Ziem Ruskich, Wołynia, Rusi czerwonej, Podola, Ukrainy, temże co Litwa uciśnieni jarzmem, osądzili, że jednostajne mają prawo do podejmowania trudów Towarzystwa. Dla tego też same ich uczucia i też same pobudki, spowodowały, że przystąpili do Towarzystwa.“

Towarzystwo ziem litewskich i ruskich w szereg swych prac położyło głównie zbieranie materjałów do historji powstania listopadowego, opisanie odrębnych chwil tego powstania, lub całej historji; zbieranie statystycznych i historycznych opisów i jako jeden z punktów wykazujących dążenia towarzystwa: „zajęcie się ich narodowością“. Dodatek ten wykazuje, że towarzystwo przy całej jedności rzeczypospolitej w granicach najobszerniejszych, nie myślało iść wbrew historycznemu życiu i nie zaprzeczało istnienia dwóch narodów z sobą połączonych. Takie zdanie przynajmniej mieli liczni członkowie. Wtedy to Mickiewicz pisał: „Litwo, ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie. O ile cię czcić i kochać trzeba, ten tylko się dowie kto cię stracił“ Jednakże w politycznym ustroju bez jedności polskiej nikt Litwy ani Rusi nie pojmował.

Chcąc zaś jednolitości działania w ustawach swych, towarzystwo zamieszcza*): „Członek towarzystwa mający ogłosić drukiem dzieło lub pismo o rzeczach litewskich lub ruskich mówiące, winien jest odczytać je towarzystwu.“ W nagłym razie wybierała się na ten cel osobna komisja i dopiero po odczytaniu towarzystwu „każdy członek czynny może nie pytając tow., pismo swoje tego rodzaju drukować“, — ale jeżeli chciał się zatytułować członkiem tow., powinien był uzyskać pozwolenie. Tym sposobem każda praca wychodząca na zewnątrz, przechodziła przez krytykę sumienną bliżej świadomych rzeczy, i jeżeli by grzeszyła kształtem zewnętrznym, to przynajmniej wiele błędów mieścić nie mogła. W ostatecznym zaś uporze autora wychodziłoby sprostowanie i dla tej przyczyny towarzystwo postanowiło, żeby każdy autor składał „po 1 egzemplarzu swego pisma do archiwum grona środkowego.“**) Rękopisy powinne były być udzielane towarz. do skopjowania. Zatem wszelkie prace piśmienne lub drukowane swych członków towarzystwo posiadało i mogło śledzić bieg sprawy narodowej.

Tow. Z. lit. i r. nie wyłamało się z ogólnego przesądu członków honorowych i na takich mogło wybierać cudzoziemców, którym pozwalano odczytywać na zgromadzeniach w sprawach uważanych za mające związek z celem tow. Jednakże***) członek czynny czy honorowy ogłaszający dzieło krzywdzące sprawę litewską lub

*) Statuts de la societé Lithuanienne et des terres Russiennes. (1832).

*) Str. 7 §. XIX.

**) Statut est. §. XX, XXI str. 7.

***) §. XXIII.

ruską i uwłaczające prawdzie, ulegał zaskarżeniu i mógł być wydalanym z grona.

Jeszcze zawiązując się tow. wiedziało, że ręczyć niepodobna za stałe istnienie jego. A kierownictwo ogromnie zależało od przewodniczącego i pisarza. Nadto koniecznem było ognisko, w którem by ześrodkowywała się cała czynność i działalność pracowników. Otóż następuje cały szereg §. organizacji przypominający tę sprężystość i jakby niezachwianą rutynę, jaką sobie wyrobiła ongiś Litwa w wytwarzaniu szybkiem oddziałów wojowników, co rozsławili po krańce Europy jej pogoń i rogi bawole. Na miejsce wyjeżdżającego wybierał się zastępca.*) Ani przewodniczący, ani pisarz nie mogli się dowolnie usuwać z grona, a musieli się przenosić tam, dokąd się przenosiło i grono, „bo oni z gronem swojem środkowość stanowią.“ Gdyby ci urzędnicy pozostali po przeniesieniu się grona gdzieindziej, na ich miejsce wybierano innych. W razie zebrania się 10 członków w jednem miejscu, mogli oni natychmiast stanowić oddział, obowiązany tylko składać raporta miesięczne środkowemu gronu. Gdyby prezes rozstał się z gronem środkującem, to obiera sobie nowego przewodniczącego, a dawny przewodniczący nie może zbierać nowego grona przy sobie. Tak samo tracą władzę dygnitarze tow. jeśliby po przeniesieniu grona nie pospieszyli za niem. Organizacja w tym kształcie trwałaby daleko dłużej od wszelkiej innej, bo nawet po rozproszeniu grona środkowego obejmywał zarząd główny *oddział najdawniej istniejący*.

Tak urządzone towarzystwo mogło wzajemnie oddziaływać i zawsze pracować przez wspólne spółubieganie nad dobrem narodowem. To też nie dziw, że to co było młodszego ze studentów i powstańców litewskich przy tem oddziaływaniu wyrobiło się na pisarzy narodowi korzystnych.

Na urzędowych papierach tow. odbijała się winietka przedstawiająca pogoń litewską, za którą leżała kotwica. A nad nią pod stopami jednogłowego orła wznoszącego się do lotu, powiewały chorągwie z herbami Rusi białej, czarnej, księstwa smoleńskiego, Żmudzi z jednej strony; a Rusi czerwonej, Wołynia Podola i Ukrainy — z drugiej. Niedźwiedź żmudzki obok archanioła i dwugłowego orła i krzyża Ukrainy nad pogonią całej Litwy była emblemą jedności rzeczpospolitej.

Później nawet towarzystwo odbiło medal na pamiątkę powstania, czyli jak głosi lista prenumeracyjna *„medal polski dla rewolucji litewskiej i ziem ruskich (médaille polonaise pour la revolution Lithuanienne et des terres Russiennes)*. Medal ten był roboty p. *Barre*, który później robił popiersie cesarza Napoleona dla monet francuskich. A przedstawiał on z jednej strony gladjatora rwącego łańcuchy z napisem: Nou. si. male. nunc. et Olim. sic. erit. (Paris 1832); a na drugiej w bogatym ornamencie z trofeów, pod konfederatką herb rzeczpospotej (dwa orły i dwie pogonie) i napis: *polonia, lithuania, afiaeque, regionnes, rusiae, imperio inique. sub ditae. Libertatem. vi. et. armis—querebant ann. 1830—1831.* in rei memoriam lithuana, cousotiatio. W zawezwaniu swem do prenumeraty towarzystwo wygłasza: „męczennica wolności, poddana najstraszniejszej tyranji, gwałtownie wcielona do cesarstwa co chciało jej odciąć nawet jej imię, Litwa po długich latach cierpienia podniosła się aby ukarać tyle zbrodni, *ażeby znowu się stać Polską*. Polacy z nad Wilji i Niemna zarówno jak i z nad Wisły wydali też same okrzyki wolności i niepodległości na wszystkich punktach roli polskiej; też same ofiary, toż oddawanie się, taż miłość ojczyzny“.....

Słowem, że ile razy występowało na zewnątrz towarzystwo, tyle razy zawsze powtórzyło formułę tożsamości i jednolitości narodów rzeczpospolitej. Jednakże wewnątrz społeczeństwa polskiego na wychodźtwie musiało ono staczać walkę z pojęciami tamtoczesnemi dawnych wojskowych.

Wyszli ze służby i szkoły Konstantego i napoleońscy żołnierze nie mogli żadną miarą pojąć ani waleczności, ani hartu żołnierza z ruchawki. Partyzant i chwilowy żołnierz zdawał się czemś gorszem od ozwyczajonego z koszarami, zaprawnego w bojach żołnierza regularnego pułku, chociażby oba równocześnie zaczęli swą służbę.

Dziś dopiero wyrabia się pojęcie, że najdzielniejszy żołnierz, to żołnierz obywatel, który na chwilę bierze miecz by walczyć za świętą sprawę; aby po walce natychmiast przejść do pracy produkcyjnej. Lecz po 30 roku tej prawdy nikt nie wyznawał tak samo jak dziś jeszcze wyżsi wojskowi nie pojmują dzielności pospolitego ramienia kierowanego męstwem i odwagą.

Ta zarozumiałość *patrontaszów*, regularnych wojsk (jak nazywano wiarusów) głównie dawała się czuć Litwinom prawie bez wyjątku należącym do *ruchawki*. Ztąd też takie starania i zabiegi komitetu narodowego, gdzie większość członków była z Litwy lub Rusi, i kłopotanie się o uznanie i porównanie stopni stosownie do uchwały rządu narodowego.

W liście Chodźki znajduje się określenie tego stanu: „Teraz, gdy walka wojenna ustała, gdyśmy na ziemi obcej, a zatem równi sobie, dawni wojskowi z Kongresówki nie mogą jakoś uważać za równych i zdolnych posiadać stopnie wojskowe przez powstańców litewskich i ruskich, chociaż między nimi są synowie najzasłużeńszych obywateli, uczniowie szkół, gimnazjów i uniwersytetu wileńskiego. Dopóki oni walczyli w Litwie i w Polsce, nie starali się o żadne stopnie, a teraz gdy rząd francuski daje żołd przyzwoity i odpowiedni stopniom wojskowym, a więc Litwini i Rusini mają najsłuszniejszą rację, aby te stopnie były uregulowane, a zatem aby mieli z czego żyć, *a tem samem doczekać się do mającej się rozpocząć nowej walki za ojczyznę*, gdy będą mogli do niej wrócić z dzisiejszej ich pielgrzymki.“ Ta walka militaryzmu polskiego z poczuciem obywatelskiej obrony głównie wypadła w udziale pracy towarzystwa ziem lit. i rus. i dla tej przyczyny, skoro tylko powstał zamiar partyzantki, a dzielny Zaliwski podjął się kierownictwa naczelnego, całe towarzystwo stanęło po jego stronie. A *Wołłowicz* i tylu innych głowy swe złożyli. Dla tego to Mickiewicz wymownie w artykułach pielgrzyma pobijał żołnierskie niechęci Dwernickiego i ostrożnych, a *Chodźko* w trybunale tyle kłopotu sprawiał obroną męczeństwa tych *szaleńców* i t. d.

Litwa i Ruś świętych męczenników wyprawy partyzanckiej policzyła za własnych patronów, że się tak wyrażę i na ich zwłoki sypała wieniec uznania i paliła kadzidło zachwytu; gdy koroniarze po większej części żołnierze wytrawni i omusztrowani tylko miano warjatów i szaleńców dać byli wstanie. Walka więc moralna wywołana Litwinami i Rusinami w łonie emigracyjnem, była głównym powodem do wyrobienia się pojęć o partyzantce i jej zamiłowaniu w przyszłych planach naszych patrjotów nad podźwignieniem ojczyzny.

Gdy militaryzm nasz podkopał całkiem wpływ komitetu narodowego, stawiąc jakby przeważnie wojskowy kom. Dwernickiego, wtedy nawet w łonie tow. Z. l. i r. powstawała myśl zamienienia tow., a raczej wybrania komisji czy też sekcji politycznej do działania na zewnątrz. Że tak było, dowodzi głos Konstantego *Zaleskiego* i protokół posiedzenia 12 listopaka 1832. „K. Zaleski... żeby nadać większą czynność Tow. litew. Rus. radby widzieć wydobywane działanie polityczne. Będąc w Strasburgu i otrzymawszy tam pismo Towarzystwa wzywające go, aby się zajmował interesem braci Litwinów, dopełniał tego stosownie do swej możności; lecz czy towarzystwo dopełniło zapowiedzianych i przyrzeczonych przez się warunków, tego nie widzi w ważniejszych interesach. Wprawdzie *komitet wojskowy litewski* wywinięty z łona towarzystwa, czynnie krzątał się około losu ziomków; lecz, czy wytrwał i dopiął celów swoich?“

Komitet ten wyjednywał stopnie, ale nie wszystkie były one uznane. Nadto wojskowy militaryzm i im nie darowywał i zawsze ich widział jako coś nieprawego. Dla tego też w wielu miejscach dochodziło do pewnych nieporozumień i nieraz Litwini uważani byli za coś odrębnego. Z tego powodu *Chodźko* pisał do *Cyprysińskiego* *): „Od przechodzących tędy rodaków, udających się do innych zakładów, dowiaduję się iż, w Chateauroux rozprawiają wiele o kwestji litewsko-ruskiej. Jest to rzecz tem naturalniejsza, gdyż więcej tam jest Litwinów i Rusinów, niż koroniarzów. Ponieważ należysz do tych ostatnich, a więc twojem wdaniem się łatwiej przekonasz, iż niewłaściwie oni wywołują albo ich mniemaną wyższość, albo różnicę między jedną wspólną i solidarną bracią.“

Te nieporozumienia odbiły się i w głosie wspomnianym Zaleskiego: „Litwa zrobiła niezmierne poświęcenia, lecz w cóż się one obróciły, gdy dalsze działania rewolucji listopadowej zniszczyły zabiegi litewskie i zgubiły Litwę? Smutne doświadczenie przekonało, że ilekroć i gdziekolwiek wojsko regularne się pokazało lub zetknęło z powstańcami, wszędzie prawdziwa sprawa rewolucyjna upadła, a powstańcom broniono działać i niszczono ich potężne wpływy na zgnębienie i przepędzenie najezdniczych wrogów. Prawa ludu wszędzie ogłaszane przez powstańców, były tam później zapomniane. Upadliśmy haniebnie nie przez nas samych, lecz przez wpływ tych, w których mieliśmy znaleść prawdziwą pomoc i wybawienie! Weszliśmy za wojskiem regularnem na obcą i nieprzyjacielską nam ziemię; lecz jak u nas tak i tam arystokracja nie przestała braci naszej gnębić. Trzeba zatem pomagać braciom powstańcom, pomagać nieszczęśliwym! Dotrzymajmy cośmy im przyrzekli.“

Militaryzm z Dwernickim na czele nie rad z zatwierdzonych stopni przez komitet wojskowy litewski, zamierzał tych stopni nie uznać, więc Litwini tak przemawiali: „Jest władza narodowa w komitecie' narodowym polskim.... Litwa tam była protegowaną, mając w tym komitecie godnych jej reprezentantów Litwinów. Lecz powstała przeciw niemu burza, formuje się jakiś nowy *komitet narodowy emigracji polskiej*. Więc cóż się w nim dzieje? gdzież w nim są reprezentanci Litwy? Nie bez ważnych przyczyn usunęło się z grona jego tylu poczciwych obywateli! *Trzeba zatem wskrzesić*, wydobyć siłę polityczną litewską.“

Towarzystwo jako ciało zbiorowe nie chciało przemawiać w sprawach politycznych, postano-

*) §. IX i następne str. 5 i 6.

*) Tours 20 sierpnia 1833.

wiło zajmować się naukowością. To też wołano*): „Dobrze jest zajmować się naukowością, ale myślmy i zajmijmy się polityką, gdyż wyższe jest powołanie i przeznaczenie naszego towarzystwa. *Trzeba nam szczerze myśleć o rewolucji emigracyjnej*, tem bardziej, że połowę tej emigracji składają Litwini i Rusini. Podnoszą się protestacje przeciw nowemu komitetowi, lubo szanuję jego członków, lecz nie potwierdzam bynajmniej jego działań, nie widzę w nim reprezentantów Litwy.“

Powstanie 1830—31 napiętnowane było jednym grzechem śmiertelnym, za który tyle naród odpokutował i jeszcze nie zmazał. Grzechem tym było ślepe trzymanie się Kongresówki i jakiegoś urojonego wiedeńskiego traktatu. Dla tej mrzonki marnowano siły narodu i nie prowadzono walki na całych obszarach rzeczypospolitej, a w małym jej zakątku poświęcając resztę na pastwę. Towarzystwu l. i Z. r. zostawało więc zatrzeć ten haniebny grzech na ciemnocie koroniarskiej wypiętnowany. „Litwa myśli po polsku, jako część przeważna dawnej rzeczypospolitej polskiej; a zatem ktobykolwiek i pod jakimkolwiek pretekstem myślał i mówił o *Polsce kongresowej, ten bynajmniej nie jest godnym imienia Polaka,*“ woła ono.

Na takich motywach wnoszono utworzenie nowej sekcji politycznej do znoszenia się „w celu politycznym z Litwinami po zakładach będącymi“. Towarzystwo jednakże nigdy nie wytworzyło nowej sekcji politycznej i pozostawało zawsze tylko literacko-naukowem. (C. d. n.)

Do mojego chłopca.

PIOSENKA.

Chłopcze mój jedyny!
Posłuchaj mych słów:
Wśród bliźniej drużyny
Tyle zdań co głów.
Lecz są prawdy czyste,
Niemi ludy stoją;
Święte, wiekuiste,
Te miej gwiazdą twoją.

Powiedzą ci: człowiek —
Dzieckiem nizkich sfer;
Od otwarcia powiek,
Zawodzi o żer.
Nie wierz; bo choć ciała
Brzemię nas przygniata —
Dźwiga wiecznotrwała,
Jasna myśl skrzydlata.

Wskażą ci na złota
Wszechpotężny czar;
Rzekną: sława, cnota,
To najgłupsze z mar.
Nie wierz; bo gdy dłonie
Raz zagłębisz w błoto,
Pamięć twa utonie
Zabita sromotą.

Rzekną: patrz! miliony
Głodnych — jeden syt;
Więc nie bądź szalony
Walcz pięścią o byt.
Nie wierz; darów ziemi
Ma wbród ćma człowiecza,
Lecz niech dzieli niemi
Serce — nie stal miecza.

Wskażą ci jak miły
Jest tryumfu wrzask;
Rzekną: pędź co siły
Do władzy i łask.
Nie wierz; bo fałszywy
To szlak i mozolny,
Bo człowiek szczęśliwy
Jest — kiedy jest wolny.

Zawołają: wrogi
Rozdarły ci kraj;
Patrz! nowe są bogi!
Wszędzie znajdziesz raj.
Nie wierz w cudze nieba!
Dworszczyzny — zgnilizny!
Lepiej być bez chleba,
Niźli bez Ojczyzny.

M. Rodoć.

*) Borkowski. Pamięt. Hist. o wypr. partyz. do Polski. 103 str.

TEN MAŁY

POWIEŚĆ

ALFONSA DAUDETA

przekład

Wincenty Limanowskiej.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy.)

III.

Umarł! módlcie się za niego!

Było to w poniedziałek, w miesiącu lipcu.

Dnia tego, wyszedłszy z kolegium, dałem się namówić na zabawę w obóz i kiedy zdecydowałem się wrócić do domu, było już o dużo później jakbym sobie tego życzył. Z placu Terreana na ulicę Lanterne biegłem nie zatrzymując się, z książkami na rzemyku i czapką w zębach. Ponieważ jednak straszliwie bałem się ojca, odetchnąłem przeto chwileczkę na schodach, tyle tylko ile potrzeba było dla wymyślenia bajeczki, która miała wytłumaczyć opóźnienie się moje. Poczem zadzwoniłem odważnie.

Sam pan Eyssette otworzył mi. „Jak późno przychodzisz!“ — rzekł do mnie. — Drżąc zacząłem recytować kłamstwo moje; ale kochany człowiek nie dał mi go dokończyć, i przyciągnąwszy mię do siebie, milcząc długo uściskał.

Przyjęcie to zdziwiło mię nie pomału, spodziewałem się był dobrej bury przynajmniej. Najprzód, przyszło mi na myśl, że proboszcz z Saint-Nizier był na obiedzie; z doświadczenia wiedziałem, że nigdy nas nie łajano w takich razach. Ale wszedłszy do jadalnego pokoju zaraz się przekonałem, żem się omylił. Na stole dwa tylko były nakrycia, mojego ojca i moje.

— A matka? a Jakób? — zapytałem zdziwiony.

Pan Eyssette — odpowiedział mi głosem miękkim, jakiego nie miał zwykle.

— Twoja matka i Jakób wyjechali, Danielu; twój brat ksiądz mocno jest chory.

Spostrzegłszy, że zbladłem usłyszawszy te słowa, dodał zaraz wesołym prawie tonem, chcąc mię uspokoić:

— Kiedy mówię, że mocno chory, to tylko taki mój sposób mówienia; zawiadomiono nas, że ksiądz leży słaby; znasz twoją matkę, chciała jechać do niego, i dla towarzystwa dałem jej Jakóba... Ale nic mu nie będzie!... A teraz siadaj i jedzmy; umieram z głodu.

Nic nie mówiąc, siadłem do stołu, ale ciężko mi było na sercu i z największą trudnością zaledwie wstrzymać się mogłem od łez na myśl, że mój brat ksiądz słaby. Smutno i w milczeniu siedzieliśmy jeden na przeciw drugiego. Pan Eyssette jadł prędko, pił wielkimi haustami, potem nagle zatrzymywał się i myślał... Co do mnie, nieruchomie siedząc na końcu stołu, jak gdyby w osłupieniu, przypominałem sobie piękne historje, które ksiądz opowiadał mi niegdyś kiedy przychodził do fabryki. Pamiętam także pierwszą jego mszę, na której była cała rodzina; jakże był piękny, kiedy się obracał ku nam z rozpostartemi ramionami i mówił *Dominus Vobiscum!* głosem tak słodkim, że pani Eyssette płakała z rozrzewnienia!... Teraz wyobrażałem sobie, jak leży tam, chory (oh! bardzo chory, tak mi coś mówiło); zmartwienie moje tem większe było, że w głębi serca słyszałem głos, który wołał na mnie: „Bóg cię karze, twoja to wina! Trzeba było wrócić wprost do domu! Nie trzeba było kłamać!“ I przerażony tą okropną myślą, że dla ukarania go Bóg ześle śmierć na brata jego, ten Mały rozpaczał w duchu, mówiąc sobie: Nigdy, nie, nigdy nie będę grał więcej w obóz wyszedłszy ze szkoły.“

Po skończonym obiedzie, zapalono lampę, i wieczór zaczął się. Na obrusie, wśród ostatków deseru, pan Eyssette rozłożył swe wielkie handlowe książki i rachował głośno. Finetka, kotka od tarakanów, smutnie miauczała, krążąc około stołu... ja otworzyłem okno i oparłem się o nie.

Ciemno było, powietrze ciężkie... Z dołu dochodziły śmiechy i rozmowy prowadzone przed drzwiami a z daleka z fortu Loyasse rozlegał się odgłos bębna... Stałem tak przez minut kilka, myśląc o smutnych rzeczach i wzrokiem wodząc do koła w ciemności, kiedy w tem gwałtowne uderzenie dzwonka wstrząsnęło mną całym. Przestraszony spojrzałem na ojca i zdawało mi się, że przez oblicze jego przemknął wyraz niepokoju i przerażenia, którego sam doznałem. To uderzenie dzwonka i jego także przestraszyło.

— Dzwonią! — rzekł do mnie prawie pocichu.

— Zostań ojcze, ja pójdę zobaczyć. I pobiegłem do drzwi.

Człowiek jakiś stał u progu. W półmroku dostrzegłem, że podaje mi coś, wahałem się wziąć.

— Depesza — rzekł.

— Depesza! wielki Boże! Na co?

Drżąc wziąłem ją i chciałem zamknąć drzwi; człowiek zatrzymał je nogą i rzekł mi zimno:

— Trzeba podpisać.

Trzeba było podpisać! Nie wiedziałem o tem: pierwszą w życiu depeszę odbierałem.

— Kto tam, Danielu? — zawołał pan Eyssette; głos jego drżał.

Odpowiedziałem:

— Nic! To ubogi!... I dając człowiekowi znak, by zaczekał na mnie, pobiegłem do mego pokoju, po omacku umoczyłem pióro w atramencie, potem wróciłem.

Człowiek rzekł:

— Tu trzeba podpisać.

Przy świetle lampy na schodach ten Mały podpisał drżącą ręką; potem zamknął drzwi i wszedł do mieszkania, kryjąc depeszę pod bluzę.

Oh! tak, kryłem cię pod bluzą, depeszo nieszczęścia! Nie chciałem, żeby pan Eyssette widział cię; z góry widziałem, że przynosisz nam

jakąś straszliwą wieść, i kiedy otworzyłem cię, nie powiedziałaś mi nic nowego, słyszysz ty depeszo! Nie powiedziałaś mi więcej nadto, co serce moje samo odgadło już było.

— To był ubogi? — rzekł ojciec, patrząc na mnie.

Nie zaczerwieniwszy się nawet, odpowiedziałem: „Ubogi;“ i chcąc odwrócić podejrzenia jego, stanąłem na dawnem swem miejscu u okna.

Czas jakiś stałem przy niem nie ruszając się, nie mówiąc, przyciskając tylko do piersi papier, co mię palił.

Chwilami chciałem rozumować sam z sobą, dodać sobie odwagi; — mówiłem do siebie: — „Co ty wiesz? może to dobra wiadomość. Może piszą, że wyzdrowiał... Ale dobrze czułem, że to nieprawda, że kłamałem sam przed sobą, że depesza nie o przyjściu do zdrowia jego mówi.

Nakoniec, zdecydowałem się pójść do pokoju mego i przekonać, jak się rzecz miała. Wyszedłem z jadalnego pokoju powoli, jak gdyby nie myśląc o niczem; ale kiedy znalazłem się u siebie, z jakąż gorączkową szybkością zapaliłem lampę! Jakże ręce mi drżały, kiedym otwierał tę depeszę śmierci! I jakiemiż gorącemi łzami zlałem, kiedym ją otworzył... odczytałem ją ze dwadzieścia razy, zdawało mi się wciąż, żem się mylił; ale niestety! napróżno czytałem i odczytywałem ją i na wszystkie obracałem strony: nie mogłem wydobyć z niej nic innego jak to, co mi najprzód powiedziała, to co wiedziałem, że mi powie:

„Umarł! módlcie się za niego!“

Jak długo stałem płacząc nad otwartą depeszą, nie wiem. Pamiętam tylko, że oczy piekły mię bardzo, i że przed wyjściem z pokoju długo chłodziłem twarz wodą. Potem wróciłem do jadalnego pokoju, trzymając w skurczonej dłoni przeklętą depeszę.

A teraz co miałem począć? W jaki sposób oznajmić ojcu o okropnej wiadomości; co za śmieszne dziecińśtwo, żem zatrzymał depeszę dla samego siebie? Trochę wcześniej, trochę później, musiał się przecie dowiedzieć o niej! Jakie szaleństwo! Gdybym przynajmniej otrzymawszy depeszę, poszedł wprost do niego, otworzylibyśmy ją byli razem; teraz już byłoby wszystko skończone.

Rozmyślając tak, zbliżyłem się do stołu i usiadłem koło pana Eyssette, tuż koło niego. Biedny człowiek zamknął był swe książki i bawił się łechtając piórem biały pyszczek Finetki. Serce mi się ściskało, patrząc na tę zabawę. Widziałem poczciwą twarz jego, którą lampa na pół oświecała; ożywiał się i śmiał chwilami. Chciałem powiedzieć mu: „Oh! nie, nie śmiej się; nie śmiej, proszę.“

Kiedy tak smutno patrzałem na niego, trzymając depeszę w ręku, pan Eyssette podniósł głowę. Spojrzenia nasze spotkały się; nie wiem, co ujrzał we wzroku moim, ale twarz jego nagle zmieniła się, wielki krzyk wydobył się z piersi i głosem rozdzierającym zawołał: „Umarł, nieprawdaż?“ Depesza wyśliznęła mi się z palców, łkając padłem w ramiona jego. We wzajemnym, rozpaczliwym uścisku długo, długośmy płakali, a u nóg naszych Finetka bawiła się z depeszą, z okropną depeszą śmierci, przyczyną tylu łez naszych.

Wierzajcie mi, nie kłamię: działo się to już tak dawno, od tak dawna już spoczywa w ziemi mój drogi ksiądz, którego tak kochałem. Otóż dzisiaj jeszcze, kiedy otrzymam depeszę, nie mogę otworzyć jej bez dreszczu. Zdaje mi się zawsze, że wyczytam w niej: *umarł! módlcie się za niego!*

IV.

Czerwony zeszyt.

W starych mszałach napotykamy niekiedy wcale niekunsztowne rysunki, na których Matka siedmiu boleści przedstawiona jest z ogromnym głębokim zmarszczkiem na każdym z policzków; tę boską bliznę artysta oddał jak gdyby mowiąc: „Patrz jak płakała!“... Zmarszczek ten, zmarszczek łez, przysięgam, żem go ujrzał na wychudłej twarzy pani Eyssette, kiedy wróciła z Lugdunu, pogrzebawszy syna swego.

Biedna matka, odtąd nie uśmiechała się nigdy. Suknie jej zawsze były czarne, twarz zawsze smutna. W ubraniu tak jak w sercu swem, nosiła wielką żałobę, i nie zdjęła jej nigdy... Zresztą nic się nie zmieniło w domu Eyssette; posępniej tylko jeszcze zrobiło się, nic więcej. Proboszcz z Saint-Nizier odprawił kilka mszy za spokój duszy księdza. Dla nas dwóch uszyto czarne suknie ze starego ubrania ojca, i smutne życie szło dalej.

Czas jakiś upłynął od śmierci naszego kochanego księdza. Jednego wieczora zdziwiłem się mocno, widząc, że Jakób zamyka drzwi na dwa spusty, starannie zatyka szpary we drzwiach, potem zbliża się do mnie, trzymając palec na ustach z wyrazem tajemniczym i uroczystym.

Trzeba wiedzieć, że od powrotu jego z południa dziwna zmiana zaszła w zwyczajach Jakóba. Najprzód, czemu nie wszyscy uwierzą, Jakób nie płakał już, to jest prawie nie płakał; następnie szalone upodobanie do klejenia opuściło go też prawie zupełnie. Wprawdzie, od czasu do czasu garnki z klejem szykowały się przed ogniem, ale robiło się to już bez dawnego zapału; teraz kto potrzebował teki, na klęczkach musiał prosić o nią... Rzecz do nie uwierzenia! Pudełko do kapelusza, które pani Eyssette obstalowała była, od tygodnia znajdowało się na warsztacie... W domu nie spostrzegano tej zmiany; ale ja widziałem dobrze, że z Jakóbem coś się stało. Kilka razy podszedłem go w magazynie, jak sam do siebie mówił i machał rękami. Nie sypiał po nocach; słyszałem, jak mruczał przez zęby, potem nagle wyskakiwał z łóżka i wielkimi krokami biegał po pokoju... Wszystko to było nienaturalne i przestraszało mię, kiedym zastanawiał się nad tem. Zdawało mi się, że Jakób dostaje pomięszania zmysłów.

Otóż, wieczora tego, kiedy zobaczyłem, że zamyka drzwi na dwa spusty, myśl ta o obłąkaniu jego przyszła mi znowu do głowy i wzbudziła chwilowy przestrach; biedny mój Jakób! On nie spostrzegł tego i, poważnie biorąc w swe ręce rękę moją rzekł:

— Danielu, zwierzę ci się z jednej rzeczy, ale musisz mi przysiądz, że nigdy o tem nie powiesz nikomu.

Zaraz zrozumiałem, że Jakób nie był obłąkany. Bez wahania się odpowiedziałem mu:

— Przysięgam na to, Jakóbie.

— A więc! Nie wiesz?... Cyt!... Piszę poemat, wielki poemat.

— Poemat, Jakóbie! ty piszesz poemat, ty!

Za całą odpowiedź Jakób wyciągnął z pod kamizelki swej ogromny czerwony zeszyt, który sam skleił był i na wierzchu którego napisał najpiękniejszem swem pismem:

Religio! Religio!

poemat w dwunastu pieśniach przez

Eyssette (Jakóba).

Było to coś tak wielkiego, żem uczuł zawrót głowy.

Czy pojmujecie to?... Jakób, mój brat Jakób, dziecko lat trzynastu, Jakób od łez i od garnków kleju, pisał poemat o dwunastu pieśniach!

I nikt się nie domyślał tego nawet! I wciąż go posyłano z koszykiem na ręku po jarzyny. I ojciec częściej niż kiedy wołał na niego: „Jakóbie, jesteś osioł!...

Ah! biedny, kochany Eyssette (Jakób)! jakżebym cię z całego serca uścisnął, gdybym się na to ośmielił. Ale nie śmiałem... Pomyślcie tylko! *Religio! Religio!* poemat w dwunastu pieśniach!... Prawda każe mi wyznać, że daleko było do końca poematu tego w dwunastu pieśniach. Zdaje mi się nawet, że stanęły dopiero tylko cztery pierwsze wiersze pierwszej pieśni; ale rzecz wiadoma, że w tym rodzaju pracy początek jest najtrudniejszy, i jak mówił Eyssette (Jakób) z największą słusznością: „Teraz kiedy mam już cztery pierwsze wiersze, reszta jest niczem; kwestja czasu tylko.“

Niestety! ta reszta, co to była kwestją czasu, nigdy Eyssette (Jakób) nie mógł trafić z nią do końca... Cóż począć? Poemata mają także przeznaczenia swoje; zdaje się, że przeznaczeniem *Religio! Religio!* poematu w dwunastu pieśniach było nie składać się wcale z dwunastu pieśni. Napróżno poeta wysilał się, nie mógł ruszyć z miejsca dalej nad pierwsze cztery wiersze. Był to fatalizm... Nakoniec, nieszczęśliwy chłopiec zniecierpliwiony, do djabła odesłał poemat swój i odprawił Muzę (mówiono jeszcze wówczas Muza). Tego dnia począł szlochać na nowo, i garnki z klejem ukazały się napowrót przy ogniu... A czerwony zeszyt?... Oh! zeszyt czerwony, ten także miał przeznaczenie swoje.

Jakób rzekł mi: „Oddaję ci go; pisz w nim, co zechcesz.“ A wiecie co weń wpisałem. Moje poezje, do licha! poezje tego Małego. Odziedziczyłem po Jakóbie chorobę jego.

A teraz jeżeli czytelnik pozwoli na to, podczas kiedy ten Mały dobiera rymu, jednym skokiem przesadzimy cztery lub pięć lat życia jego. Pilno mi dojść do pewnej wiosny 18.., o której dom Eyssette nie zapomniał dotąd, są także pamiętne daty w rodzinach!

Zresztą, czytelnik nie straci na tem nic, że nie pozna tego ustępu życia mego. Zawsze ta sama piosenka, łzy i nędza! niepowodzenie w interesach, komorne nie zapłacone, sceny wyprawiane przez wierzycieli, djamenty matki sprzedane, srebro w zastawie, w prześcieradłach dziury, w spodniach łaty, wszelkiego rodzaju niedostatek, wieczne: „co poczniemy jutro?“ zuchwałe dzwonienie woźnych, odźwierny, który uśmiecha się kiedy przechodzisz, a dalej pożyczki, później protesta, a później... a później...

Otóż jesteśmy w 18...

Tego roku ten Mały kończył filozofję swoją.

Był to, jeżeli dobrze sobie przypominam, młody chłopak pełen pretensji, mający siebie na serjo za filozofa i poetę; zresztą wzrostem nie większy od buta gwardzisty i ani jednego włoska nie mający na brodzie.

Otóż pewnego rana, kiedy ten wielki filozof wybierał się do klasy, pan Eyssette ojciec

przywołał go do magazynu i głosem swym ostrym rzekł do niego:

— Danielu, rzuć książki w ogień, nie pójdziesz już do kolegium.

Powiedziawszy to, pan Eyssette ojciec zaczął chodzić wielkimi krokami po magazynie. Nie mówił nic i zdawał się być bardzo wzruszony; ten Mały także, chciejcie mi wierzyć... Po długiej chwili milczenia, pan Eyssette ojciec rzekł:

— Danielu, mój chłopcze, złą mam wiadomość dla ciebie... oh! bardzo złą... Zmuszeni jesteśmy rozstać się z tobą, oto dla czego.

Tu wielkie rozdzierające łkanie dało się słyszeć za wpół otwartemi drzwiami magazynu.

— Jakóbie, jesteś osioł! — zawołał pan Eyssette, nie odwracając się; poczem mówił dalej:

— Kiedyśmy przed ośmiu laty przyjechali do Lugdunu, zrujnowani przez rewolucjonistów, spodziewałem się, siłą pracy nowego dorobić się majątku; ale szatan się w to wmięszał! Tyle tylko zrobiłem, żeśmy po uszy ugrzęźli w biedę i długi... Teraz skończyło się, zabrnęliśmy bez ratunku... Jeden nam tylko środek pozostaje, sprzedać te trochę, co mamy jeszcze i rozejść się; dorośliście już, i każdy z was z osobna musi starać się zapracować na życie.

Nowe łkanie niewidzialnego Jakóba przerwało mu mowę; ale ojciec sam tak był wzruszony, że się nie rozgniewał na niego. Dał tylko Danielowi znak, by drzwi zamknął, poczem mówił dalej:

— Otóż postanowiłem tak. Matka wasza pojedzie na Południe do brata swego, stryja Baptysty, i żyć będzie przy nim aż dopóki nie nastąpi jaka zmiana. Jakób zostanie w Lugdunie; znalazł tu małą posadę przy lombardzie. Ja wchodzę do pewnego stowarzyszenia handlowego jako komisant... Co do ciebie, moje biedne dziecię, trzeba żebyś także zapracował sobie na życie... Właśnie w tej chwili otrzymałem list od rektora, który proponuje ci miejsce korepetytora; masz! czytaj! Ten Mały wziął list.

— Jak widzę — rzekł czytając, nie mam czasu do stracenia.

— Trzebaby jechać jutro.

— Dobrze, pojadę...

Poczem ten Mały złożył list i oddał go ojcu, a ręka jego nie drżała przytem wcale. Był to wielki filozof, jak widzicie.

W tej chwili pani Eyssette weszła do magazynu, a za nią wsunął się nieśmiało Jakób. Oboje zbliżyli się do tego Małego i w milczeniu uścisnęli go. Od wczoraj już wiedzieli o wszystkiem.

— Przygotujcie dla niego tłumok! — rzekł porywczo pan Eyssette jutro rano wyjedzie statkiem.

Pani Eyssette głęboko westchnęła, Jakób łkał z lekka, i wszystko się skończyło. Zaczynano przywykać do nieszczęścia w tym domu!

Nazajutrz po tym pamiętnym dniu, cała rodzina przeprowadziła Daniela Eyssette na statek: Szczególnym zbiegiem okoliczności był to ten sam statek, który przed sześciu laty przywiózł był nas do Lugdunu, kapitan Geniès, kucharz Montélimart! Naturalnie, przypomniano sobie parasol Anny, papugę Robinsona i kilka innych scen przy wylądowaniu... Wspomnienia te rozweseliły trochę smutny ten wyjazd, i na blade usta pani Eyssette przywołały cień uśmiechu.

Nagle dzwonek odezwał się. Trzeba było jechać.

Ten Mały, wyrwawszy się z objęć przyjaciół swoich, odważnie przebiegł mostek...

— Bądź poważny! — wołał za nim ojciec.

— Nie choruj! — wołała matka.

Jakób chciał coś mówić, ale nie mógł; zalewał się łzami.

Ten Mały nie płakał, nie. Jak już miałem zaszczyt powiedzieć czytelnikowi, był to wielki filozof, a filozofowie nie powinni wcale rozczulać się...

A jednak, Bogu tylko wiadomo, jak bardzo kochał tych, których opuszczał. Bogu wiadomo, jak chętnie oddałby był za nich wszystką krew swoją i całego siebie... Ale cóż począć? Zadowolenie, jakiego doznawał opuszczając Lugdun, ruch statku, przyjemność podróży, uczucie dumy, że był mężczyzną, człowiekiem wolnym, skończonym, który podróżuje sam; sam zarabia na swe życie, wszystko to upajało trochę Małego i przeszkadzało mu myśleć tak, jakby był powinien; o tych trzech kochanych istotach, które płakały tam, na wybrzeżach Rodanu...

Ah! ci trzej tam nie byli filozofami! Okiem tkliwem, niespokojnem śledzili astmatyczny ruch statku; kita dymu jego wydawała się na widnokręgu nie większa od jaskółki, a oni wciąż jeszcze powtarzali: „Do widzenia! do widzenia!“ i dawali mu znaki.

Tymczasem pan filozof przechadzał się wzdłuż i wszerz pomostu, z rękami w kieszeni, z nosem do góry. Pogwizdywał, spluwał daleko, zaglądał kobietom w oczy, pilnował roboty majtków, kołysał ramionami jak wysoki mężczyzna, znajdował siebie zachwycającym. Zanim przybył do Vienne, już zawiadomił kucharza Montélimart i dwóch kuchcików jego, że należy do uniwersytetu i sam zarabia na bardzo wygodne życie... Panowie ci winszowali mu tego. Bardzo to połechtało jego dumę.

Przechadzając się z jednego końca statku na drugi, filozof nasz potrącił raz nogą wiązkę sznurów, leżącą koło wielkiego dzwonu; na nich to przed sześciu laty Robinson Krusoë przesiedział długie godziny, trzymając papugę między nogami. Rozśmiał się teraz, spojrzawszy na nie, i zarumienił trochę.

— Jakże musiałem być śmieszny, pomyślał, ciągnąc ze sobą wszędzie tę wielką klatkę pomalowaną na niebiesko i tę fantastyczną papugę!...

Biedny filozof! Nie domyślał się, że przeznaczeniem jego dźwigać całe życie ową śmieszną klatkę, pomalowaną na niebieski kolor złudzenia, i tę papugę zieloną, koloru nadziei.

Niestety! W chwili, kiedy piszę te wyrazy, nieszczęśliwy chłopiec nosi ją jeszcze, tę swoję wielką klatkę pomalowaną na niebieskie. Tylko z dnia na dzień błękit pręcików jej odpada kawałkami, a papuga zielona utraciła trzecią część piór swoich, niestety!

Natychmiast za przybyciem do rodzinnego miasta swego, Daniel Eyssette udał się do akademji, gdzie mieszkał rektor.

Rektor ten, przyjaciel Eyssette ojca, był to piękny wysoki starzec, suchy, żwawy, nie mający najmniejszego pozoru pedanta lub czegoś podobnego. Z wielką uprzejmością przyjął Eyssette syna. Jednakże, kiedy wprowadzono tegoż do jego gabinetu, poczciwy człowiek nie mógł się powstrzymać od wyrazu zadziwienia.

— Ah! mój Boże — zawołał — jakiż on mały!

Rzecz niezaprzeczona, że Daniel Eyssette mały był aż do śmieszności, a przytem tak wyglądał młodo, taki był chudy!...

Wykrzyknik rektora ogromnie go przestraszył: „Nie zechcą mnie!“ pomyślał. I całem ciałem począł drżeć.

Szczęściem, rektor jak gdyby się domyślił tego, co się działo w tej biednej małej mózgownicy, dodał zaraz: „Zbliż się, mój chłopcze... Mamy zatem zrobić z ciebie podagoga... W twoim wieku, z taką twarzą i takim wzrostem, rzecz będzie trudniejsza dla ciebie niż dla kogo innego. Ale ponieważ to jest konieczne, ponieważ musisz pracować na życie. moje drogie dziecko, postaramy się ułatwić ci to, o ile będzie można... Na początek, nie pójdziesz do wielkiego zakładu... Poszlę cię do kolegium gminnego, leżącego o kilka mil ztąd w Sartande, w samych górach... Tam przyzwyczaisz się do tego rodzaju pracy, wyrośniesz, a kiedy będziesz już miał brodę, to zobaczymy!“

Tak mówiąc, rektor pisał do naczelnika szkoły Sarlande, polecając mu swego protegowanego. Ukończywszy list, wręczył go temu Małemu i radził wyjechać tegoż dnia; poczem dał mu jeszcze kilka dobrych rad i odprawił nareszcie, po przyjacielsku pogłaskawszy go po twarzy obiecując, że nie zapomni o nim.

I tak mój Daniel bardzo czuje się szczęśliwym. Po kilka stopni naraz przeskakując, stacza się ze stuletnich schodów akademji i jednym tchem biegnie zamówić dla siebie miejsce do Sarlande.

Dyliżans odchodzi po południu dopiero; a zatem cztery godziny czasu jeszcze!... Ten Mały korzysta z tego i rusza na plac, poparadować na słońcu i pokazać się spółziomkom swoim. Dokonawszy tej pierwszej powinności swej, zamierza pożywić się trochę i zaczyna upatrywać oberży odpowiedniej sakiewce swojej... Jak raz na przeciw koszar spostrzega czyściutką, świecącą się, ozdobną pięknym szyldem oberżę pod:

Czeladnikiem wędrującym po Francji.

— To właśnie, co mi potrzeba — pomyślał. I po kilku chwilach wahania się, po raz pierwszy to bowiem ten Mały wchodzi do restauracji, odważnie otwiera drzwi.

Szynk pusty jest w tej chwili, Sciany jego bielone... kilka stołów dębowych dokoła... W kącie stoją długie laski rzemieślników, ozdobione miedzianemi gałkami i różnokolorowemi wstęgami... Przy kantorze gruby mężczyzna chrapie, utopiwszy nos w gazecie.

— Hola! jest tam kto! — rzecze ten Mały uderzając pięścią o stół, jak stary bywalec knajp.

Gruby mężczyzna przy kantorze nie budzi się dla takiej drobnostki; ale z izby po za sklepem przybiega karczmarka... Spostrzegłszy nowego klienta, którego anioł przypadek sprowadził jej, wydaje krzyk wielki:

— Boże! pan Daniel!

— Anna! moja stara Anna? — woła ten Mały. I padają sobie w objęcia...

Ha! mój Boże, tak! to Anna, stara Anna, niegdyś służąca Eyssette'ów, teraz oberżystka, matka czeladników, poślubiona Janowi Peyrol, temu grubemu co chrapie tam przy kantorze... Ażebyście wiedzieli jak jest szczęśliwa, ta poczciwa Anna, jak szczęśliwa, że widzi pana Daniela, jak go całuje! jak ściska! jak dusi!...

Wśród tych czułości człowiek przy kantorze budzi się.

Najprzód zdaje się być zdziwiony trochę zapałem, z jakim żona jego wita młodego człowieka; ale kiedy dowiaduje się. że młodym tym nieznajomym jest pan Daniel Eyssette we wła-

snej swej osobie, wówczas Jan Peyrol czerwieni się z zadowolenia i staje się nadskakującym względem swego znakomitego gościa.

— Jadłeś pan śniadanie, panie Danielu?

— Na honor nie, mój dobry Peyrol... dlatego właśnie wszedłem tutaj.

— Sprawiedliwy Boże... Pan Daniel nie jadł śniadania!... Prędko, prędko. — Stara Anna biegnie do kuchni; Jan Peyrol leci do piwnicy, piwnicy znakomitej jak powiadają czeladnicy.

W mgnieniu oka stół nakryty i przystrojony i temu Małemu, pozostaje tylko usiąść i wziąć się do roboty... Po lewej jego stronie Anna kraje mu chleb do jaj, jaj zniesionych tegoż rana, białych, świeżych, pienistych... Po prawej stronie Jan Peyrol nalewa mu stary Chateau-Neuf-des-Papes, który lśni się i rumieni niby rubin w szklance jego. Daniel czuje się bardzo szczęśliwym. Pije jak rycerz Templarjusz, je jak brat Szpitalnik i nie tracąc ani jednego kęska opowiada, że właśnie wstąpił do uniwersytetu, co daje mu możność uczciwego zarabiania na życie. Trzeba to widzieć, z jaką to miną powiada: *uczciwie zarabiać na życie*! Stara Anna nie posiada się z uwielbienia i podziwu!

Zapał Jana Peyrol okazuje się bardziej umiarkowanym. Wydaje mu się to bardzo naturalnem, że pan Daniel pracuje na życie, kiedy już jest wstanie pracować. W wieku pana Daniela, on Jan Peyrol podróżował już od lat czterech czy pięciu i ani szeląga nie kosztował rodziców, przeciwnie... Tak, tak! w wieku pana Daniela, Jan Peyrol oddawna już był człowiekiem skończonym!...

Naturalnie, że czcigodny oberżysta uwagi te dla siebie chowa. Śmiech porównać Jana Peyrol do Daniela Eyssette'a!... Anna nie zniosłaby tego.

Tymczasem ten Mały swoje robi. Pije, je, mowi, ożywia się; oczy jego błyszczą, policzki rumienią się... Hola! panie Peyrol, proszę o szklanki; ten mały chce stuknąć się... Jan Peyrol przynosi szklanki i piją najprzód zdrowie pani Eyssette, potem pana Eyssette, potem Jakóba, Daniela, starej Anny, męża Anny, Uniwersytetu... i cóż jeszcze?...

Dwie godziny mijają tak na gawędce i piciu. Rozmowa toczy się o przeszłości żałobą pokrytej o przyszłości mieniącej się różową barwą. Przypominają się dzieje fabryki, Lugdun, ulica Lanterne, ten biedny ksiądz którego tak kochano...

Nagle Daniel powstaje, musi jechać...

— Już! — mówi smutnie stara Anna.

Ten Mały tłumaczy się; potrzebuje przed wyjazdem z miasta zobaczyć się z pewną osobą; wizyta bardzo ważna... Co za szkoda! tak dobrze było razem!... Tyle jeszcze pozostało rzeczy do opowiedzenia!... Ale jeżeli to konieczne, jeżeli pan Daniel musi się z kimś widzieć w mieście, przyjaciele jego z pod *Czeladnika wędrującego*, nie chcą go dłużej zatrzymywać... „Szczęśliwej podróży, panie Danielu! niech cię Bóg szczęśliwie prowadzi, nasz kochany paniczu!" I aż do połowy ulicy Jan Peyrol i małżonka jego przeprowadzają go błogosławieństwy swemi.

A wiecież, kto to jest ów ktoś, z kim się ten Mały chce widziec przed odjazdem?...

Jestto fabryka, owa fabryka, którą tak kochał i którą tak opłakiwał niegdyś!... Jestto ogród, pracownia, wielkie jawory, przyjaciele dzieciństwa jego, uciecha pierwszych dni życia... Cóż chcecie? Serce człowieka podlega takim słabościom; kocha co może, nawet drzewo, nawet kamienie, nawet fabrykę... Zresztą historja powie wam, że stary Robinson za powrotem do Anglji wyruszył znowu na morze i nie wiedzieć ile tysięcy mil zrobił, chcąc zobaczyć swoją bezludną wyspę.

Nic więc dziwnego, że ten Mały zrobił kroków kilka dla zobaczenia swojej.

Już wielkie jawory, których kiciaste głowy wyglądają po nad domami, poznały swego starego przyjaciela biegnącego do nich co tchu. Z daleka dają mu znaki i pochylają się jeden do drugiego jak gdyby mówiły do siebie: Oto Daniel Eyssette! Daniel Eyssette wrócił!

A ten spieszy się, spieszy; ale stanąwszy przed fabryką zatrzymuje się w osłupieniu...

Przed nim wielkie szare mury, ale ani kawałeczka oleandru lub granali... Nie ma okien, okienka tylko, nie ma pracowni, jest kaplica. Ponad drzwiami wielki krzyż z czerwonego głazu. a na nim trochę łaciny!...

O boleści! fabryka nie jest już fabryką; jestto klasztor karmelitanek, gdzie mężczyźni nie wchodzą nigdy. (C. d. n).

KRONIKA NAUKOWA.

przez

B. ABAKANOWICZA.

Rozeszła się kilka tygodni temu wiadomość, iż znaleziono w Australji sposób usypiania zwierząt, zupełnego ich znieczulania i przechowywania w takim stanie przez czas bardzo długi. Jakkolwiek wiadomość ta ma wszelkie cechy humbugu, to jednak nie można wręcz, bez przekonania się, zaprzeczyć jej prawdziwości.

Medycyna ma wiele środków znieczulających, których jednak użycie połączone jest zwykle z pewnem niebezpieczeństwem życia. I tak np. jednym z bardzo powszechnych środków jest *tlenek azotu*, którego wynalazcą jest Sir Humphry Davy. Ma on także nazwę gazu rozweselającego, z powodu iż upaja tego, który nim oddycha i nasuwa mu, w małych dozach przyjęty, bardzo wesołe myśli. Użyty w większej ilości sprowadza zupełne znieczulenie i dentyści używają go dość często przy wyrywaniu zębów u osób nerwowych. Lecz nigdy nie można trzymać pacjenta w dłuższem uśpieniu, bo następuje śmierć przez uduszenie, wskutek braku tlenu potrzebnego do regeneracji krwi w płucach. Dla tego też przy dłuższych operacjach, trzeba kilkakrotnie usypiać i znów przebudzać na chwilę żeby uniknąć niebezpieczeństwa śmierci. Pochodzi to ztąd, że znieczulenie zupełne można sprowadzić jedynie wtedy, gdy się każe oddychać pacjentowi czystym tlenkiem azotu bez przymieszki powietrza, tak, że krew w płucach nie styka się z potrzebną jej ilością wolnego tlenu i następuje uduszenie.

Lecz nie tylko przy tlenku azotu, lecz i przy innych środkach znieczulających, dochodzi się do tego samego rezultatu, więc zdawałoby się iż wszystko przemawia za tem, iż znieczulenie przez czas długi nie może być zniesionem przez organizmy zwierzęce i że australski sposób jest zwykłym humbugiem. Jednak, żeby rozstrzygnąć punkt sporny, słynny fizjolog francuski, Paweł Bert, znany z ostatnich czasów ze słynnej filipiki przeciw Jezuitom, powtórzył doświadczenie z tlenkiem azotu i doszedł do bardzo interesujących, i prawdopodobnie obfitych w skutki rezultatów. Fakt, że aby sprowadzić znieczulenie, tlenek azotu musi być zadany w czystym stanie, znaczy iż jego napięcie, powinno być równe jednej atmosferze, aby mógł wejść do organizmu. Ażeby osiągnąć to w zwykłej temperaturze i przy zwykłych warunkach ciśnienia, potrzeba naturalnie 100 procentów tego gazu, czyli trzeba mieć go w stanie czystym. Lecz jeżeli ustawimy istotę, którą znieczulać mamy, pod kloszem pompy tłoczącej i podniesiemy ciśnienie do dwóch atmosfer, to wtedy możemy jej dać do oddychania mięszaninę pół na pół powietrza i tlenku azotu, bo każdy z nich z osobna będzie miał napięcie jednej atmosfery. Bert rozumował sobie, iż w takich warunkach źwierzę lub człowiek powinno wytrzymać w stanie znieczulenia przez czas bardzo długi, gdyż wtedy jest już dosyć tlenu na użytek krwi w płucach. Doświadczenia potwierdziły te przypuszczenia w znacznej części.

Pod kloszem pompy powietrznej tłoczącej umieścił Paweł Bert psa i zwiększył ciśnienie tylko do jednej piątej części atmosfery. Mięszanina gazów była w stosunku pięciu części tlenku azotu i jednej części tlenu. Po dwóch minutach pies usnął zupełnie i był nieczułym, chociaż oddychanie odbywało się najregularniej. Przez godzinę robiono doświadczenie i przez cały ten czas krew psa była czerwoną, puls bił regularnie i temperatura ciała się nie zmieniła. Wszystkie funkcje życia, tak zwanego roślinnego, były w stanie zupełnego funkcjonowania.

Gdy potem wpuszczono powietrze, pies po kilku odetchnieniach odrazu odzyskał przytomność, a nie tak jak przy chloroformowaniu dopiero po dłuższej chwili. Pochodzi to ztąd, że chloroform wchodzi w organizmie w związki chemiczne, gdy tymczasem tlenek azotu mięsza się poprostu z krwią i wnet, po usunięciu jego działania, wydalonym zostaje na zewnątrz przez płuca.

Na podstawie takich doświadczeń twierdzi Bert, iż tlenek azotu jest zupełnie nieszkodliwym dla człowieka i zaleca lekarzom jego używanie w stanie mięszanym z tlenem i przy pewnem zwiększonem ciśnieniu.

* * *

Jakkolwiek prawa, według których dźwięki się rozchodzą w powietrzu, dobrze są znane, to jednak jednem z najtrudniejszych praktycznych zadań, jest urządzenie sali teatralnej, parlamentarnej lub koncertowej takie, żeby głos ze sceny lub z mównicy, z równą czystością we wszystkich punktach był słyszany.

Że zadanie to jest trudnem, mieliśmy tego najlepszy dowód z ostatniej wystawy paryskiej. Na Trocadéro wzniesiono gmach wystawowy, przeznaczony na wystawę retrospektywną sztuki, a w jego środku wybudowano wspaniałą salę dla koncertów międzynarodowych. Otóż pp. architekci wspólnie z fizykami postanowili urządzić salę jak można najlepiej pod względem akustycznym. Obliczano i przerabiano plany i nareszcie zgodzono się na jeden projekt i przeprowadzono go w wykonaniu. Gdy jednak poczęto robić potem już w wykończonej sali próby, pokazało się iż jest ona jedną z najgorszych w Paryżu. Akordy uderzane na estradzie w niektórych miejscach były podwójnie słyszane i każdy ton wychodził zamglony i niepełny, wskutek rozprószenia się i kilkakrotnego odbicia od twardych i pogiętych ścian sali. Ażeby to usunąć, pozawieszano

niektóre najbardziej niebezpieczne miejsca makatami, i przyniesiono tym pewną pomoc, lecz w rezultacie i dotąd jeszcze sala Trocadéro nie należy do najlepszych sal koncertowych.

W ostatnich latach przekonano się, że oprócz racjonalnego obrania kształtu samej sali, koniecznem jest także uwzględnięcie prądów powietrznych przebiegających przez salę, bo one wywierają, jak doświadczenia pokazały, jeden z największych wpływów na jej akustyczność. Tyndall, Jacques i inni pracowali doświadczalnie w tym kierunku i przekonali się, że jeśli głos po drodze swojej przebiega przez warstwy powietrza o różnej i ciągle zmiennej gęstości, to wtedy jest w bardzo znaczny sposób osłabionym. Powietrze jest środkiem po którym dźwięk przenosi się do naszego ucha, a więc musi być ono w warunkach jak najkorzystniejszych w takich salach, gdzie chodzi o słuchanie.

We wszystkich salach jednak, warunki te są bardzo niekorzystne. Wskutek wielkiej liczby otworów komunikujących tę salę z sąsiedniem lub zewnętrznem powietrzem, przebiegają w niej ciągle prądy w najrozmaitszych kierunkach. Ciepłe i rzadsze idą do góry zimne i gęstsze opadają na dół i odbywa się ciągłe krążenie. Łatwo się o tem przekonać za pomocą lekkich kulek zawieszonych na niteczce, które podczas ustawiania ich w różnych punktach sali, odchylają się w różne strony, stosownie do kierunku prądu.

Z doświadczeń Tyndalla wiadomo, że głos przebiegając przez następujące po sobie warstwy powietrza o różnej gęstości, słabnie znacznie; Jacques dowiódł, iż oprócz tego, zmienia się on co do swej formy, staje się nieczystym i niewyraźnym.

Doświadczenia urządzone były w sposób następujący. Na jednym końcu długiej sali dęto w dudkę organową, na drugim przeciwległym słuchało się efektu i badało siłę oraz własności głosu dochodzącego. W prostej linji pomiędzy uchem badacza a źródłem głosu, umieszczono w kilku miejscach żarzące się węgle, tak że od nich wznosiły się prądy do góry i głos musiał przechodzić raz przez warstwy gęste i spokojniejsze, a potem po nad każdem ogniskiem, przez rzadkie i szybko się wznoszące. Siła głosu dudki organowej, niezwykle osłabła. Oprócz tego głos stracił na swej jasności. Następnie próbowano mówić i gdy ogień był jeszcze nie zapalony, słyszano wyraźnie każdy odcień mowy. Gdy wywołano sztuczne prądy, głos osłabł, stał się niewyraźnym i zdawało się jakby każda sylaba była dwa lub trzykrotnie powtarzaną.

Jacques podaje następujące wytłumaczenie tego zjawiska. Oryginalny promień dźwięku (jeźli się tak wyrazić można) uderzając o pierwszy prąd wznoszący się nad ogniskiem do góry, częściowo jest odbity, a częściowo przepuszczony naprzód. Strata części odbitej jest przyczyną osłabienia głosu. Część przepuszczona idzie dalej i uderza o prąd następny. Tutaj następuje to samo działanie odbicia częściowego i przepuszczenia i taki podział powtarza się tyle razy, ile jest po drodze zmian w gęstości powietrza.

Części odbite, nie są jednak całkowicie stracone dla ucha. Cofnęły się one w tył, lecz po pewnym czasie znowu dochodzą do ucha i o bębenek uszny uderzają drugorzędne fale głosowe, już po usłyszeniu fal pierwszorzędnych tak, że się tworzy zamięszanie dźwięków i ich zanieczyszczenie.

Na ten bardzo znaczny i szkodliwy wpływ prądów na „akustyczność“ sal teatralnych, zwracali dotąd architekci mało uwagi i dopiero teraz, zaczęli się tym przedmiotem bliżej zajmować.

* * *

Rząd rzeczypospolitej francuskiej, całą swą energję zwrócił od czasów pogromu, na podniesienie materjalne kraju i dokonał w tym kierunku rzeczy, jak wszystkim wiadomo, zadziwiających. Wielkie roboty techniczne przeprowadzają się na olbrzymią skalę, a na ich czele stoi projekt ministra komunikacji Freycineta, urządzenia sieci kolei żelaznych, kanałów i ulepszenie rzek, nie mający sobie dotąd równego. Przeszło trzy miliardy mają być na to poświęcone. Na pokrycie tej kolosalnej sumy wypuszczono pożyczkę trzyprocentową, która ma być zamortyzowaną w przeciągu lat siedmdziesięciu pięciu.

W planie Freycineta pierwsze miejsce zajmują koleje żelazne. Linje które poprzednio były budowane, mają tę charakterystyczną cechę, iż większość zbiega się do Paryża, który między niemi siedzi, jak pająk w środku swej sieci. Rzut oka na mapę kolei francuskich wystarcza do poznania tego, szczególniej jeźli się ją zestawi z kolejami angielskiemi, które gęstą i nieregularną siatką pokrywają wielką Brytanję. Wskutek takiego skoncentrowania, ruch był głównie skierowany na Paryż i miasto to żyło tylko wyłącznie swemi prowincjami. Dziś chcą zaradzic złemu i pobudować koleje poprzeczne, które wić się będą koncentrycznie koło Paryża i łączyć z sobą linje odśrodkowe. Praca ta zajmie republikę przez długie lata i po wieczne czasy będzie jej policzoną za znakomitą zasługę.

Większość nowych linji kolejowych będzie należała do tak zwanych kolei wązkotorowych, to jest takich, w których szyny będą bliżej od siebie leżały, niż w kolejach pierwszorzędnych. Wyznaczono komisję, która miała za zadanie, poznanie tego rodzaju dróg żelaznych w kraju i za granicą i komisja ta oświadczyła się za wązkiemi torami. Są one tańsze tak co do budowy jak i co do utrzymania i to tembardziej, że na stacjach i w urządzeniu wagonów unikać będą wszelkiego zbytku, zadowalniając się skromnemi środkami. Tą drogą będzie można wybudować dłuższe linje, za stosunkowo dość niską cenę.

Innem dziełem które ma przyjść do wykonania, jest dawno pożądany kanał od Creil sur Oise do Beauvais, Amiens i Albert z dwiema ważnemi odnogami. Dla północnej części Francji kanał ten odda znakomite usługi; będzie on jedną z najznaczniejszych dróg wodnych komunikacyjnych Francji i zniży opłatę przywozową z angielskich portów, do Amiens i Paryża o połowę.

Kronika tygodniowa.

Nasz kochany Lwów, jako już większe miasto, ma wiele podobieństwa do owego krakusowego smoka na Wawelu; trawi bowiem wszelkie nowiny tak samo prędko jak ów potwór przedhistoryczny trawił barany, rycząc i dopominając się o nową strawę. Niech mię Bóg broni, abym tak dosłownie chciał uważać Lwów za ryczącego smoka, byłaby to oczywista impertynencja ze strony waszego sługi — a on tego nie ma nigdy na myśli — lecz doprawdy gdy idzie o te tygodniowe barany, które musi dostarczać czytelnikom — nieraz wykręca się sianem, aby tylko dać coś nowego.

Ledwie że skończył się targ zbożowy — i szlachta pojechała do domu, już wszyscy zapomnieli o nim.— Przyszedł na porządek dzienny wybór posła do Rady państwa—i ten przeszedł bez żadnych emocji, bez żadnej agitacji, — ot tak systematycznie, powoli i prawie że z apatją. Lwów do takich spraw potrzebuje koniecznie jakiegoś bodźca, pewnej opozycji, zaostrzenia walki, a tu jak wszycy zgodzili się na p. Smolkę, tak jeden za drugim bez żadnej werwy szli na ratusz i oddawali karty z prawdziwie niemiecką flegmą. Zebrało się 1526 wyborców, i z tych 1501 padło na p. Smolkę, albowiem resztę unieważniono tylko z powodu nieformalnego wypisania nazwiska kandydata. Najmniejszy udział brali żydzi, choć doprawdy wiele oni mają p. Smolce do zawdzięczenia; mieszczaństwo z przedmieścia również się nie kwapiło, więc jedna tylko inteligencja z całą świadomością swych obowiązków szła ochoczo i z tem przekonaniem, że godniejszego i odpowiedniejszego posła stolica kraju dziś wybrać nie może.

Otóż i znowu cisza; Towarzystwo sztuk pięknych zamknęło swój salon tegoroczny, Bitwa pod Grunwaldem i Miss Wanda powędrowali do Krakowa, a za niemi wszystkie myśli i życzenia kierują się w tamtą stronę, gdzie Polska przyjmować będzie szanownego Jubilata z oznakami czci i uwielbienia, za pięćdziesiąt lat niestrudzonej pracy na roli ojczystej. W braku czegoś lepszego i głośniejszego, aby tylko zająć uwagę publiczną, musimy donieść, że dnia 29 września panowie majstrowie kunsztu szewskiego, zbierają Wiec jeneralny dla pogawędki o swojej biedzie. Musi być już bardzo krucho koło inteligencji naszej chodzącej zwykle w butach, jeżeli panowie szewcy narzekają na ciężkie czasy, że kunszt ich upada. Sądzimy, że przy rozprawach w tej materji, zechcą obradujący sięgnąć głębiej do wyszukania przyczyn tej stagnacji i poruszyć kwestję, dlaczego dziś prosporuje taka masa ludzi obywających się bez butów? Nie bez tego, żeby się nie dostało i coś literatom i nakładcom i czytającej publiczności, albowiem oni to są głównymi sprawcami, że ta klasa narodu obywająca się dotąd bez butów, jeszcze nie jest w możności podniesienia kunsztu szewskiego.

Drugie arcypożyteczne i ciężko na pożytek ludzkości pracujące stowarzyszenie szynkarzy, również daje znak życia. Wprawdzie nie idzie im o podźwignięcie w masach usposobienia do picia, bo na to nie narzekają, ale o danie świadectwa, że istnieje. Uradziło tedy oddać hołd protektorowi swemu i wyszukawszy portret ś. p. Augusta II Sasa, postanowiło zawiesić go na ścianie w lokalu stowarzyszenia, a przy tej sposobności wypalić kilka mówek i zjeść nie zły objadek. Nie wiemy czy przy tej uroczystości, powtórzy się owo historyczne popuszczanie pasa i czy godnej pamięci dla szynkarzy król nieboszczyk obróci się w trumnie z radości, że jego pijackie czasy znajdują dziś uznanie.

Już to jest prawdą uznaną, że jakkolwiek upadł cały przemysł Galicji, to proceder szynkarski w najlepsze prosperuje mimo ustawy sejmowej o pijaństwie, która podobno nie zapobiega

zalewaniu pałek ludzkich. Słyszeliśmy, że wskutek tego zawiązuje się nowe dobroczynne stowarzyszenie, coś w rodzaju Trynitarzy nowoczesnych, które ma się zajmować wykonaniem tej ustawy, to jest zbieraniem pijaków po ulicach i szynkach i odprowadzaniem ich do domu. Panowie szynkarze tem się nie zmartwią, wiedząc, że ich klienci znajdą pożądaną opiekę bez ich udziału, a dobroczynność publiczna znajdzie dogodny upust dla swych uczuciowych sentymentów.

Powszechną zwraca uwagę niezwykłe zmniejszenie się liczby uczniów w szkołach realnych, a przypuszczalnie i wyższych zakładów technicznych. Gorączka inżynierska już minęła, rząd sprzyja krajowi, więc nie potrzebuje on krzątać się nad podźwignięciem industrji. Wszystko co żyje ciśnie się teraz do urzędowania, jest to najłatwiejsza i najkrótsza droga do wegetowania, gotowy chleb, skromny ale pewny choć skąpy, co nam po więcej!

* * *

Projekt postawienia pomnika Piusowi IX na *Wawelu* uważaliśmy za tak niewłaściwy, że po dwakroć zabraliśmy głos wykazując całą niestósowność podobnego pomysłu. Niestety głos nasz pozostawał odosobnionym, prasa go nie poparła, nie jakoby pochwalała projekt uknuty w głowach pewnej koterji, ale z braku cywilnej odwagi wypowiedzenia swoich przekonań. Z prawdziwem zadowoleniem dowiedzieliśmy się, że rada miejska krakowska położyła swoje weto przeciw postawieniu pomnika na *Wawelu*, a prezes jej w myśl uchwały rady przesłał projektowiczom wymowną odpowiedź, którą tu podajemy w całości:

Magistrat król. stoł. miasta Krakowa.

Do komitetu pomnika Piusa IX. na ręce JW. hr. Bronisława Lasockiego w Krakowie.

Przedłożonego pod dniem 24. marca b. r. do l. 7521 planu na restaurację kaplicy Tomickiego w katedrze na Wawelu, celem umieszczenia pomnika papieża Piusa IX. magistrat zatwierdzić nie może, z powodów:

1) Kaplica Tomickiego znajduje się w dobrym stanie i żadnej restauracji nie wymaga, jakoż przedłożony plan projektuje nie restaurację, lecz zupełne przeistoczenie tej kaplicy tak na wewnątrz jak i na zewnątrz. W szczególności zmienione ma być oświetlenie w ten sposób, iż zamiast dwóch okien w ścianie głównej, wykonane ma być oświetlenie z góry, zaczem idzie, że dwa okna gotyckie w ścianie głównej mają być zamurowane, a natomiast sklepienie kaplicy burzone celem wprowadzenia większego światła. Burzone także i zmienione być mają sklepienia w sąsiedniej kapliczce, a nadto przedłożony plan zamierza przesunąć wielki wspaniały pomnik biskupa Tomickiego, przenieść ołtarz z kaplicy Tomickiego, do kaplicy sąsiedniej, i ogołocić kaplicę z wielkiej bronzowej kraty z napisem i herbem Tomickiego, która ma odpowiednią sobie zamykającą kaplicę z nagrobkiem biskupa Gamrata. Te wewnętrzne i zewnętrzne zmiany i przeistoczenia kaplicy Tomickiego są tak radykalne, iż zmieniłyby nie tylko charakter całego tak poważnego gmachu, a zmian takiej doniosłości w starożytnym budynku magistrat jako władza policyjno-budownicza dopuścić nie może. Nadto:

2) wykonanie tych zmian grozi niebezpieczeństwem, a przedewszystkiem całości pomnika biskupa Tomickiego, gdyż tło jego w głębi i znajdująca się tam rzeźba jako wielce uszkodzone, przez czas i wilgoć nadwątlone rozsypie się przez przenoszenie; dla tego też c. k. konserwator zabytków sztuki i budowli pomnikowych w piśmie swojem z dnia 22-go kwietnia 1879 przesuwaniu pomnika Tomickiego stanowczo się sprzeciwia. Nie można się też wyzbyć obawy o podłogę kaplicy. Prawdopodobnie utrzymałaby ona ciężar pomnika Piusa IX., który stanąłby na miejscu, gdzie stoi obecnie ołtarz, albowiem ciężar pomnika nie będzie zapewne większym od ciężaru ołtarza. Zapominać jednak nie można, że podłoga ta spoczywa nie na fundamentach, lecz na sklepieniu tylko, pod którem znajdują się groby królewskie, a powszechnie wiadomo, że w budynkach starych roboty murarskie połączone z wstrząśnieniem murów, pociągają za sobą prawie zawsze wypadki, których technika przewidzieć nie jest w stanie.

3) W budynkach monumentalnych, śniedzią wieków pokrytych, jakim bezprzecznie jest katedra na Wawelu, wszelka fabryka, pociągająca za sobą nadwerężenie murów, usprawiedliwiona być może jedynie konieczną potrzebą, a mianowicie potrzebą zachowania budynku w dobrym stanie; lecz burzyć i nadwerężać mury, wypróważ sklepienia kopuły i zamieniać ją na wielką latarnię, zamurowywać okna gotyckie, rugować pomnik zasłużonego w narodzie biskupa i kanclerza, z narażeniom go na widoczne niebezpieczeństwo, a to wszystko nie w interesie zachowania starożytnej świątyni, lub wewnętrznego jej przeznaczenia, taka fabryka nie dałaby się usprawiedliwić nawet zamiarem postawienia tam pomnika Piusa IX, zwłaszcza że pomnik taki postawiony być może w każdym innym kościele, z pominięciem radykalnych fabryk.

4) Projektowane dekoracje zmodernizowałyby część kościoła, wprowadziłyby przeto dysharmonję w wewnętrznym charakterze kościoła. Nareszcie:

5) Komitet pomnika Piusa IX. nie ma prawa rozrządzania katedrą, lub jej kaplicami i stawiania tam pomników. Jest on wprawdzie upoważniony do zbierania składek na pomnik Piusa IX., lecz ztąd nie wynika dlań prawo przeistaczania któregokolwiek z kościołów krakowskich a jakkolwiek kapituła katedralna potwierdziła w mowie będące plany, to zatwierdzenie to nie jest jeszcze wyraźnem pełnomocnictwem, dlatego magistrat nie może uznać kompetencji komitetu.

W piśmie z dnia 8. sierpnia b. r. komitet na poparcie swego podania o zatwierdzenie planów podnosi, iż sprawa ta obchodzi żywo cały ogół prowincji polskich.

Stanowisko magistratu nie może tu być inne, jak tylko budowniczo-policyjne, dlatego też magistrat odmowną swą decyzję oparł wyłącznie na powodach natury budowniczo-policyjnej i mógłby na nich poprzestać. Atoli wyzwany przez komitet powyższą uwagą na pole narodowe, nie może się zamknąć w milczeniu, lecz wypowiedzieć musi, że ze stanowiska narodowego przemawiają przeciw przedłożonym planom silniejsze jeszcze motywa, aniżeli ze stanowiska policji budowniczej.

Katedra na Wawelu jest zarazem panteonem narodowym. Wszystko w niej, posąg, grób, trumna, pomnik, każdy nawet kamień tchnie polskością. Nie było wprawdzie ustawy, któraby w tej mierze coś orzekała, lecz silniejsza od ustaw tradycja narodowa, tylu wiekami uświęcona, sprawiła, że na Wawelu uwiecznione są same tylko polskie znakomitości, a jakiekolwiek wielkości świata pojawiały się w dziejach innych narodów, żadnej z nich nie znajdziemy na Wawelu, gdyż tradycja narodowa chciała w tej świątyni mieć przybytek wyłącznie Polakom poświęcony. Wprowadzenie Piusa IX na Wawel, byłoby pierwszym w tej mierze wyłomem, a jakkolwiek wielki ten papież jest przedmiotem uwielbienia u narodu polskiego, wyłom będzie zawsze wyłomem, a co gorsza, przez wyłom taki wcisnąć się mogą inne także wielkości, któreby swoją tam obecnością zamąciły odwieczną harmonję, jaka między dotychczasowymi mieszkańcami Wawelu panuje.

Zasługa to nie dzisiejszego pokolenia, że na Wawelu mamy panteon narodowy, któregoby nam inne narody pozazdrościć mogły — to zasługa wieków; obowiązkiem przeto jest dzisiejszego pokolenia nie zdziałać nic samowolnie przeciw tradycji wiekami uświęconej, lecz strzedz i chronić narodowego skarbu od wszelkich przypadkowości i odkazać go przyszłym pokoleniom nietylko co do wewnętrznej struktury kościoła, ale także co do wewnętrznego przeznaczenia i wewnętrznego nastroju w takim stanie, w jakim nam został przekazany.

W końcu magistrat nadmienić musi, iż opóźnienie w wydaniu decyzji nastąpiło nie wskutek opieszałości, jak się szanownemu komitetowi zdawało, lecz z powodu ważności sprawy i zaszłej potrzeby wszechstronnego badania.

Kraków 24. sierpnia 1879.

(podp.) *Dr. Zyblikiewicz.*"

TEATR.

Z pewnością nie ma pod słońcem plemienia solidarniejszego, niż żydowskie. Żydzi wspierają się wzajemnie na każdem polu i w polityce, kwestjach społecznych, a nawet w literaturze i sztuce. Solidarność ta przerodziła się u nich w karykaturę i wszystko, co swoje, złe, czy dobre, piękne czy szpetne, przewrotne, czy uczciwe znachodzi poklask i poparcie. Dowodów nie brak na każdym kroku. Oto nowy. Wiadomo, że Żydzi lwowscy wcale nie chętnie uczęszczają do polskiego teatru, ale niech dyrekcja zapowie jakie dzieło żydowskiego autora lub kompozytora, albo występ żydowskiego artysty a tłumami pospieszą na przedstawienie, w jednej chwili uorganizują klakę i bądźże o bądź zapewnią plemiennikowi swemu choćby tylko chwilowe powodzenie. Każdy mógł to obserwować na przedstawieniu „Wieży Babel" Rubinsteina, a obecnie na występach tenorzysty Menkesa. Szczególnie do tej plemiennej solidarności poczuwa się galerja oklaskująca każdy ustęp, każdy niemal ton śpiewaka. A Bogiem a prawdą, p. Menkes wcale na to nie zasługuje. Głos jego zwyjątkiem kilku wysokich tonów, ani posiada szlachetnego metalu, nie rozgrzewa, nie przemawia do serca, a śpiew jego jeśli się czemś odznacza, to chyba fałszywą deklamacją i zupełnym brakiem dobrego smaku. Dodajmy do tego, że p. M. ma wcale niepokaźną i niesympatyczną figurę, a przytem gra z prawdziwie żydowską afektacją, a przyjdziemy do przekonania, że przesadne poczucie solidarności lwowskich Semitów w tym wypadku, stało się co najmniej komicznem. A propos występów p. Menkesa, musimy zwrócić uwagę dyrekcji na ciężki błąd, którego się dopuściła pozwalając panu M. śpiewać w „Żydówce" po niemiecku. Wobec naszego stosunku do dławiącej nas hydry germanizmu, takiej rzeczy tolerować nie można.

W ubiegłym tygodniu przedstawiono po dłuższej przerwie operetkę Lecocq'a „Angot". Nie wspominalibyśmy o tej tylekrotnie przedstawianej sztuce gdyby nie głębokie uczucie niesmaku, które wynieśliśmy z tego przedstawienia. W zwykłym teatrze amatorskim granoby lepiej; prawie żadna z osób grających nie wiedziała co mówić, co robić, wszystko szło rozlaźle, bez krzty werwy i humoru. Śmie-

my zapytać sz. dyrekcję czy istnieje u nas jakaś reżyserja, a jeżeli jest, na czem właściwie ogranicza się jej działalność? Pp. artystom zaś i artystkom musimy zrobić uwagę, że takie traktowanie sztuki jest niesumiennem wobec dyrekcji, która im płaci i wobec publiczności, która ma prawo żądać od artystów nie nudów, tylko zabawy. Zdaje nam się, że jeżeli kiedy, to szczególnie teraz w obec konkurencji niemieckiego teatru co do operetek, należy zwrócić podwójną uwagę na tego rodzaju widowiska.

P. Ładnowski wrócił już z urlopu i rozpoczął pracę na naszej scenie występem w „Otellu“. Publiczność przyjęła swego ulubieńca bardzo sympatycznie oklaskami i bukietami. Spodziewać się należy ożywienia poważnego repertoaru.

B. Cz.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

za miesiąc Wrzesień.

— *Anczyc Wł. L.* Emigracja chłopska. Obraz dramatyczny ludowy w pięciu aktach, drugie wydanie 8ka str. 135. Warszawa 1879 ct. 90.

— *Bykowski Piotr Jaxa.* Trzy epizody z dawnego życia szlacheckiego. I. Święcone w Łabuniu u Wojewody Stępkowskiego. II. Córka Hetmańska. III. Mirza Tadź. El. Taher (z portretem) 8ka str. 262. Lwów 1879 zł. 2. ct. 50.

— *Chełmicki Zygmunt ks.* Obowiązki rodziców, w siedmiu kazaniach passyjnych 8ka str. 173 Warszawa 1879 zł. 1 ct. 70.

— *Dobrzański Mirosław.* Poezje 8ka str. 87 Kraków 1879 ct. 80.

— *Franceska z Rawenny.* Tragedja w pięciu aktach przez W. H. 8ka str. 113. Warszawa 1879 zł. 1 ct. 80.

— *Gergowicz Edm.* Zapiski Pedagoga. 8ka str. 1879 ct. 70.

— *Historja* Polszczy, Łytwy i Rusi 16ka str. 196. Lwów 1879 ct. 25. Toż samo ruskim drukiem ct. 25.

— *Kalendarz powszechny* na rok pański 1880. Który jest rokiem, przestępnym mającym dni 366. 8ka Lwów 1880 ct. 30.

— *Lubowski Edward.* Cichy Janek z głośnym Frankiem powieść w dwóch tomach 8ka str. 256, 395. Warszawa 1876 zł. 3.

— *Nowina Roman.* W starym piecu djabeł pali. Przysłowie dramatyczne w jednym akcie oryginalnie wierszem napisane 8ka str. 49. Warszawa 1879. ct. 70.

— *Poezje przez Nieznajomego.* 8ka. str. 160 Lwów 1879 ct. 80.

— *Saint-Georges de.* Małżeństwo księcia. 8ka str. 264. Warszawa 1879 zł. 1 ct. 25.

— *Stańczyki* a *Konserwatyzm polski.* Rozprawa polemiczna 8ka str. 40. Lwów 1879 ct. 60.

— *Szujski J.* Kilka uwag o dziejach Polski w krótkim zarysie Michała Bobrzyńskiego. 8ka str. 57. Warszawa 1879 ct. 85.

— *Wagner Rudolf.* Podręcznik technologii chemicznej, tłumaczył z ostatniego wydania Juljan Grabowski. Część II. 8ka od str. 545 do 1702. Warszawa 1879 jako reszta. Kompletne dzieło. zł. 10.

— *Wilczek Józef ks.* Mowy, przemowy ślubne, pogrzebowe, instalacje i t. p. 8ka str. 118. Kraków 1879 ct. 80.

— *Zarewicz Ludwik.* Andrzej z Pasków. Bobola. 8ka str. 101. Lwów 1879 ct. 80.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

*** Świeżo ukazał się w handlu księgarskim tom trzynasty wydawnictwa jubileuszowego pod tytułem „Wybór dzieł J. I. Kraszewskiego.“

Mieści on w sobie wyborną powieść pod tytułem: „Półdjable weneckie“ i mniej znany obrazek z końca ośmnastego stulecia pod tytułem: „Pomywaczka“.

*** W jednym z ostatnich numerów angielskiego czasopisma naukowego *Nature* znajduje się artykuł dra „Juljana Ochorowicza „o teorji i prawach mikrofonu“.

W temże piśmie pomieszczony był już dawniej opis i rysunek „mikrofonu“, pomysłu tegoż autora.

P. Ochorowicz drukuje nadto w *Ateneum* obszerne studjum z filozofji i fizyki p. t. „Siła jako ruch“.

*** W ostatnim numerze *Gazety Lekarskiej* znajduje się początek pracy p. t. „Urządzenia, odnoszące się do grzebania ciał zmarłych.“

Praca ta wyjętą została do druku z pism pośmiertnych dra W. Kochańskiego, b. inspektora głównego służby zdrowia w Królestwie Polskiem, a zarazem prezesa rady lekarskiej.

W rzeczy tej znajdujemy obszerny rozdział „o grzebaniu ciał zmarłych w kraju.“

*** *Ekonomista* w jednym z ostatnich numerów pomieszcza bardzo ciekawy artykuł p. t. „O siłach młodego pokolenia“.

Artykuł ten zajmuje się kwestją wychowania fizycznego młodzieży,

Punktem wyjścia jest założenie pod Dreznem t. z. „kolonij dziecięcych“.

Kolonie dziecięce są to miejscowości na wsi, w których podczas wakacji uczące się dzieci biednych rodziców znajdują zdrowe pomieszczenie, dobre pożywienie i ćwiczenia niezbędne do należytego ich fizycznego rozwoju.

Rezultaty dla zdrowia dzieci po pobycie podczas jednych tylko wakacyj w podobnej kolonji były zadziwiające...

Ekonomista radzi ustanowienie podobnych kolonij i u nas.

W Dreznie urządzenie kosztowało tylko dziesięć dni czasu — są słowa artykułu — my mamy na to całych dziesięć miesięcy.

*** Amatorom szachów donosimy, że posiadamy dzieło Augusta Helcina p. t. Gra w szachy wyłożona na mistrzowskich partjach Anderssona, Morphyego, Steinetza, Paulsena, Dubois, Kolischa, Stanntona, Kizieryckiego, Horwitza, Owena, Łoyda, Arnad de Rivière, Zukertorta, Neumanna, Beniowskiego, Rozenthala, Winawera, Petrowa, Barnera i w. in. Jest to metoda służąca do wydoskonalenia się praktycznie samemu w grze szachowej, i jako taka, znalazła w ostatnich czasach nadzwyczaj pochlebną ocenę w kołach kompetentnych.

*** Na kongres międzynarodowy lekarzy w Amsterdamie zjechało się 600 przedstawicieli medycyny; z Polaków zasiadają tam: d-rowie Neugebaur i Szczygielski z Warszawy, Lewandowski z Wilna, Michniewicz z Miechowa i Buszek z Krakowa.

Sztuki piękne.

*** Obrazy b. p. Gotlieba przybyły już do Warszawy i wkrótce zostaną wystawione.

*** Matejko maluje wielki obraz na blasze, który ofiaruje Sukiennicom.

*** Na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie umieszczone zostały w dniach ostatnich następujące nowe obrazy:

Bieńkowskiego Stanisława „Głowa kobiety“ (studjum), „Nimfy nad Wisłą“ tudzież: „Zbroje“, Gersona Wojciecha: „Św. Jadwiga, wchodząca do sali sądowej“, Maleckiego Władysława: „Plansee w Tyrolu.“ Perls Edmunda: Porter autora, wreszcie Redlicha Henryka: trzy sztychy.

W dziale rzeźby nie przybyło nic nowego.

*** Jury dla międzynarodowej wystawy sztuk pięknych w Monachjum składa się z następujących artystów: dla Bawarji: prof. Lindenschmit, Liezenmayer, prof. Emil Lange i Schultheiss w Monachjum: dla Austrji: Angeli i Filgner w Wiedniu; dla Prus: Schreder w Berlinie, Seel i Bosch w Düsseldorfie; dla reszty krajów niemieckich: Brendel-Weimar; dla Holandji: Artz w Hadze; dla Belgji: Slingeneyer w Brukselli; dla Francji: Cabanel, Hebert i Chapu. Nie dopełniono jeszcze wyborów dla Włoch i Anglji. W miejsce Makarta i Raaba powołano Tilgnera i Schultheisa.

*** Donoszą nam z Wiednia.

Hans Makart marzy o nowych cudach barw, o nowych tryumfach!

W roku 1883 będzie Wiedeń święcił otwarcie nowego ratusza.

Atoli na ten czas przypada i dwóchsetna rocznica oswobodzenia Wiednia od hord Kary Mustafy.

Owóż mistrz Makart zamierza czarodziejskim sposobem pamiętną tę walkę pod Wiedniem z przeszłości przenieść w teraźniejszość.

W tym celu mają być urządzone formalne manewry, które w wielkim i ściśle historycznym stylu stworzą bogaty w tęczowe barwy obraz pamiętnego dnia odsieczy Wiednia.

Krocietysiące ludzi, widzów tworzyć będzie niejako ramy tego uroczystego obrazu, który na Kahlenbergu weźmie swój początek.

Po zwycięztwie zdążać będzie pochód zwycięzców z wziętymi w niewolę Turkami i Turczynkami, ze zdobytemi trofeami, bronią i chorągwiami ku nowemu ratuszowi.

Wojska, biorące udział w pochodzie, nosić mają wierne historyczne kostjumy, zdobyte na Turkach trofea, broń i chorągwie, będą te same, które przed 300 laty pod Wiedniem zdobyte zostały; na Turkach herkulicznych i rycerzach nie braknie pomiędzy tutejszą ludnością, jak to pochód z powodu uroczystości srebrnego wesela dowiódł, najmniej zaś na pięknych Turczynkach pomiędzy hożemi Wiedenkami.

Pochód ruszy z Kahlenbergu wszystkiemi drogami pomiędzy Dornbach a Nussdorf ku Wiedniowi.

Na czele oswobodzicieli jechać będzie na ognistym rumaku Jan Sobieski, a w jego orszaku znajdować się będą waleczni książęta i rycerze: książę Sawojski, książęta lotaryńscy, badeński, wirtemberski, brunszwicki, Croy, margrabowie z Beureuth i Hesji, książęta Salm i Palffy i rycerstwo polskie: Lubomirski, Zamojski, Sapieha, Rzewuski i inni.

Teatr.

*** W Berlinie ma być wkrótce przedstawiona tragedja w pięciu aktach pod tytułem „O koronę“ (Um eine Krone). Autorem tej sztuki jest niejaki Gustaw Pawlikowski.

*** Henryk Laube, znakomity dramaturg niemiecki, autor „Dymitra Samozwańca,“ napisać miał pięcioaktową tragedję opartą na tle dziejów polskich XVII stulecia.

*** W Wenecji wystawiono po raz pierwszy operę Masseneta „Król Lahory“. Wystawa i dekoracje świetne. Publiczność przyjmowała gorąco dzieło francuskiego mistrza.

*** Gabriela Moralis, słynna piękność, artystka teatru Palais Royal, zabitą została wystrzałem z pistoletu przez zazdrosnego wielbiciela; zabójca odebrał sobie natychmiast życie strzałem w usta.

*** W Monachjum w lipcu roku przyszłego na scenie królewskiego teatru nadwornego dany będzie szereg sztuk klasycznych w możliwie skończonem przedstawieniu W tym celu zarząd teatru zwrócił się z zaproszeniem do wzięcia udziału do najznakomitszych aktorów i aktorek. Przedstawień tych będzie dwanaście. Kierunek powierzono dyrektorowi Possart'owi.

Szkoły.

*** W Paryżu, Carriot, dyrektor wychowania początkowego, wygotował projekt udzielania bezpłatnie ubogim dzieciom uczęszczającym do szkół paryskich pożywienia, złożonego z gorących potraw; projekt ten będzie przedłożony do zatwierdzenia radzie municypalnej na sesji październikowej.

*** Dekretem prezydenta rzeczypospolitej francuskiej ma być na paryskim *Faculté des lettres* ustanowiona osobna katedra historji starożytnej filozofji. Dotychczasowa katedra historji filozofji oddaną będzie historji nowoczesnej filozofji. Nową katedrę objął Karol Waddington, krewny pierwszego ministra, autor dzieła „o duszy ludzkiej.“

Wynalazki i odkrycia.

*** W ciągu wiosny i lata r. b. pan G. Ossowski, członek tow. antropologicznego w Paryżu, badał pod względem archeologicznym pasmo wapienia jura-

cznego, rozciągającego się pomiędzy Częstochową a Krakowem, począwszy od Krakowa i przyszedł do bardzo ciekawych wyników: odnalazł mianowicie pewną liczbę nieznanych jaskiń, a w nich mnóstwo nowych przedmiotów.

*** *Naval Chronicle* donnosi, iż admirał sir George Sartorius wynalazł dla obsługi torpilów nowy okręt wojenny podmorski, zbudowany w formie cygara; zaopatrzony on będzie na przodzie okrętu taranem i za pomocą systemu ciężarów będzie mógł zanurzać się do znacznej głębokości.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** *Dom zarobkowy im. Kraszewskiego na Szlązku.* Bessarabja niechcąc pozostać w tyle przed innemi prowincjami naszej Ojczyzny, gotuje się także do uczczenia jubileuszu Kraszewskiego, bo jak się dowiadujemy p. S. obywatel ziemski tamtejszy, wniósł projekt założenia domu zarobkowego dla chwilowego zatrudnienia rzemieślników polskich na Szlązku, nie mających miejsca Jak wiadomo, rzemieślnicy polscy tamtejsi są uciskani przez niemieckich pracodawców, popieranych całą potęgą państwa i kapitałów niemieckich. Jaki jest ten ucisk i jakie z niego szkody dla Polaków płyną, świadczą ostatnie wybory, owoż celem, projektowanego domu zarobkowego byłoby, aby robotnik polski czy to wskutek technicznych perturbacji w pewnym zawodzie, czy to w przejściowej chwili przed otrzymaniem nowego zarobku, mógł znaleźć w nim zarobek czasowy. Robotnik więc wiedząc, że znajdzie gdzie indziej tj. w domu zarobkowym zatrudnienie, nie potrzebowałby być prawdziwym niewolnikiem niemieckiego kapitalisty i słuchać jego rozkazów nie dotyczących rzemiosła, lecz polityki i spraw miejscowych. Dam więc projektowany byłby niejako instytucją dążącą do wyzwolenia ludności polskiej na Szlązku, która oddana jest tam na pastwę żywiołowi niemieckiemu.

*** W pałacu przemysłowym w Paryżu otwarte będą jutro obrady międzynarodowego kongresu niesienia pomocy; na porządku dziennym znajdują się: ratunek na rzekach i kanałach, rzecz o praktycznym sposobie schwycenia człowieka tonącego i doprowadzenia go do brzegu, niesienie pomocy w razie pożaru, sposoby zabezpieczające od psów dotkniętych wścieklizną i t. d.

*** W Stuttgardzie w poniedziałek otwarto siódme zgromadzenie Towarzystwa dla publicznego pielęgnowania zdrowia. W obradach wzięło udział 170 uczestników. Zgromadzenie było powitane ze strony rządu i miasta. Na przewodniczącego powołano burmistrza Erharda z Monachjum. Profesor Hirsch bronił tezy o środkach przeciw grożącej z zagranicy zarazie i głównie się rozwodził nad zamknięciem granic i ustanowieniem kwarantan.

Komunikacje.

*** W Wiedniu za dni kilka ma się zebrać konferencja złożona z przedstawicieli rządów, serbskiego, rosyjskiego i austrjackiego w sprawie budowy kolei w Serbji. Z rosyjskiej strony wezmą udział w konferencji p. Persiani, konsul rosyjski w Belgradzie i rosyjski inżenier Sawacki. Rzecz będzie głównie chodziła o rozstrzygnięcie oferty, jaką austrjacka kolej państwowa (Staatsbahn), uczyniła rządowi serbskiemu. Wspomniana kolej stara się uzyskać od rządu serbskiego o wybudowanie linji Kikinda-Panczowa. Tym sposobem rozporządzałaby austrjacka kolej państwowa linją od Niszu do Bodenbach, mającą 1,424 kilometrów.

ROZMAITOŚCI.

Dobroczynność w Paryżu.

W ognisku cywilizacji, które więcej koncentruje w sobie promieni, obok cudów przemysłu i sztuki — więcej też i nędz wszelakich...

Dlatego to w wielkich miastach i centrach ludności szerokie przedstawia się pole do działalności filantropijnej, dlatego więcej tam biedaków wykolejonych ze spokojnego życia codziennego, potrzebujących przytułku, litości i wsparcia...

W Paryżu, owym nowoczesnym Babilonie, gdzie stek ludzi łączy się ze stekiem interesów i namiętności, działalność też dobroczynna się krzewi — a owoce jej godne są uwagi...

Jedną z najsympatyczniejszych stron działalności paryskiego Towarzystwa filantropijnego jest między innemi powoli ale wytrwale prowadzone zakładanie przytułków, dających nocleg ludziom czasowo bez dachu będącym.

Pierwszy tego rodzaju zakład otworzono przed półtora rokiem przy ulicy Tocquevile, a wkrótce potem drugi w dzielnicy Vaugirard.

Kropla to w oceanie paryskim, bo tam nie jeden ani dwa, lecz kilkanaście zdałoby się takich domów, lecz na początek dobre i to, bo wszakże z kropel tworzą się strumienie, rzeki i morza...

Zakłady jednak były przeznaczone wyłącznie dla mężczyzn...

Rzecz prosta, zakład tego rodzaju dla mężczyzn nie przedstawiał żadnych trudności, inaczej przecież kwestja się przedstawia, gdybyśmy chcieli otworzyć przytułek dla kobiet: rzecz to najdelikatniejsza, mniej dająca się określić, jednem słowem daleko trudniejsza...

Wreszcie w maju roku bieżącego skrupuły te przezwyciężono, otworzony został przytułek dla kobiet — i próba ta wydała jak najlepsze rezultaty...

Zakład noclegowy urządzono w dwóch domach przy ulicy św. Jakóba, które zarząd dobroczynności za małą opłatą wynajął towarzystwu filantropijnemu.

Ludzie dobrej woli chętną dłonią zaopatrzyli zakład we wszystkie potrzeby i przytułek począł funkcjonować...

Zakład ten na najwyższą zasługuje uwagę i jest jedną z najpiękniejszych tego rodzaju instytucyj, bo czyż może być coś szczytniejszego, jak pomagać nędzy i słabej istocie, jaką jest kobieta, chronić ją od najostateczniejszego upadku i podtrzymywać w strasznej nędzy.

Nie zapominajmy, że najczęściej kobieta tu się garnąca ciśnie do łona słabą istotę, której oddała ostatnią kroplę pokarmu, a którą mogłaby... porzucić na ulicy — a zrozumiemy, że, jeśli co ją wstrzymało od uczynienia tego i zwrócenia się na drogę ostatecznej ohydy, to zapewne — przytułek...

Kobiety przybywające do przytułku schodziły zapewne coraz niżej po fatalnej pochyłości, lecz jeszcze nie stanęły na ostatnim szczeblu; mają one niewątpliwie do wyrzucenia sobie lekkomyślność, nieprzezorność, może srodze ukaraną chwilową chęć użycia, może rozpaczliwe poddanie się losowi, zepsutemi jednak do dna nie są...

To właśnie pozwala zakładowi szerszą otaczać je opieką i oprócz chwilowego przytułku dać im pracę, ocalić od upadku albo samobójstwa i stworzyć przyszłość.

Drzwi przytułku są otwarte dla nieszczęśliwych, spoczynku spragnionych gości od godziny 7-mej do 9-tej wieczorem.

Mały przedsionek nie pozwolił umieścić tu ławek, na których mogłyby w oczekiwaniu na otwarcie drzwi spocząć wycieńczone, bezsilne i nieszczęśliwe istoty.

Po prawej stronie znajduje się okienko rządcy, który wpisuje w rejestr zakładu imiona, nazwiska i t. d. przybywających, poczem otrzymują one numer łóżka i kartkę na porcję ciepłej zupy wieczorem i drugą rano.

Po zapisaniu kobiety wprowadzane są do refektarza i tu mogą usiąść wygodnie i odpocząć.

Potem następuje kąpiel.

Dalej kobiety wracają do refektarza i tu po odczytaniu regulaminu zakładu dostają ciepłą zupę.

Nie trzeba dodawać, z jaką chciwością jest jedzona zupa, chociaż zdarzają się nieszczęśliwe tak osłabione, że nie mogą z początku połknąć ani łyżki jedzenia.

Po wieczerzy — nocleg.

Nim się jednak kobiety udadzą na spoczynek, przełożona czyta im przemowę, która właściwie nie jest modlitwą, ale której wyrazy wzmacniającym są pokarmem dla duszy.

Przemowę tę przytaczamy tu prawie w całości.

„Bez wątpienia wszystkie, jak tu jesteście zebrane, przechodziłyście przez ciężkie próby. Nie dajcie się złamać zwątpieniu... Bądźcie cierpliwemi; nieszczęście, które was dotyka, może być tylko chwilowem i wkrótce przeminie. Uciekajcie od występku, bo to byłoby waszą zgubą. Jakkolwiek ciężką, jakkolwiek nie dość korzystnie wynagradzaną byłaby nastręczająca się wam pracą, przyjmujcie ją odważnie, bez wahania. Pokładajcie nadzieję w bliskiem jutrze. Któż wam zaręczy, że wczoraj nie przeszłyście obok miejsca, którego szukacie, warstatu, który wam dałby utrzymanie i zarobek i że jutro możecie go znaleźć. Pokładajcie nadzieję w braterskiem spółczuciu bliźnich, którzy, jak widzicie, starają się wam podać pomocną rękę; miejcie nadewszystko ufność w Bogu, który nie opuszcza tego, kto zasługuje na jego łaski“.

Taką jest owa modlitwa.

Łkania wyrywające się ze wszystkich piersi świadczą, że słowa te napisane przez człeka wielkiego serca zostały zrozumiane i nie przejdą bez wpływu...

Dowodzi to, że kobiety, które tu przyjęto, w samej rzeczy zasługują na przytułek.

Po chwili pozostawionej dumaniu i cichej modlitwie pensjonarki udają się do sypialni.

Sypialnie dzielą się na kilka kategoryj.

Kobiety, posiadające odpowiednie świadectwa i dokumenta, są umieszczane w sypialni z większym urządzonej komfortem; materac, poduszka i prześcieradło codzień tu są odmieniane, kołdra w lecie pojedyńcza, w zimie podwójna.

Kobiety bez świadectw i dokumentów dostają posłanie bez prześcieradeł i śpią w ubraniu.

Jest jeszcze trzecia kategorja kobiet, który zajmowały dawniej pewne stanowisko w społeczeństwie a dziś upadły; te dostają osobne pokoiki i są wypuszczane oddzielnemi drzwiami.

Możnaby się nie zgodzić na ten sposób podziału, rzecz sama jednak o tyle jest w inicjatywie szlachetna, że trudno się spierać o drobne szczegóły, które w razie, gdy nie będą odpowiadały celowi, w duchu praktycznych potrzeb zapewne zmienione zostaną...

Dodać jednak trzeba, że matki z dziećmi mają oddzielną sypialnię, w której równość wobec nędzy odzyskuje wszystkie prawa; tu macierzyństwo odpowiada za wszystko i zastępuje wszystko.

Każda matka dostaje zupełne łóżko, a przy łożu jest mniejsza lub większa kolebka...

O godzinie szóstej rano — wstawanie.

Kobiety idą do sali kąpielowej, ubierają się, jedzą zupę i odchodzą szukać pracy; najbiedniejsze dostają bony na obiad do taniej kuchni.

Wprawdzie, na mocy regulaminu, zakład nie przyjmuje jednej pensjonarki więcej niż na trzy noce z kolei, lecz za to administracja instytucji krząta się energicznie około zapewnienia biedaczkom pracy; między innemi cała służba zakładu, aż do dozorczyń włącznie, z pomiędzy nich zrekrutowaną została.

Dotychczas w lecie liczba kobiet szukających na noc przytułku wynosiła przeciętnie trzydzieści, pamiętać przecież trzeba, że wkrótce nadejdzie zima...

SPROSTOWANIE.

W Nrze 34 Tygodnia Polskiego, w poezji Mieczysława Romanowskiego zaszły następujące omyłki: w wierszu 2-im zamiast *ułaskawione* powinno być *utęsknione;* w wierszu 19-m zamiast *na* powinno być *ma*, i nakoniec w wierszu 22-im zamiast *każdym* powinno być *wszystkim*.

Treść Nr. 35.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.